

# Elfy i ludzie

PIATEK TOMASZ



calibre 0.7.28

Tomasz Piątek

Elfy i ludzie

Ukochani poddani Cesarza tom 3

2004

Synopsis

Elfy i ludzie to trzeci i ostatni tom sagi Ukochani Poddani Cesarza. Oto przypomnienie wydarzeń, które miały miejsce w tomie pierwszym, zatytułowanym Zmije i krety, oraz w tomie drugim Szczury i rekiny. Jesteśmy w Cesarstwie. Jedynym Cesarstwie. Poza nim nie istnieje nic - jedynie morza oblewające zewsząd ziemie tego ogromnego państwa. Na morzach nie ma nic, bo Cesarz kazał zniszczyć wszystkie wyspy. A potem wszystkie okrety.

Nie zawsze tak było. Kiedyś nie istniało Cesarstwo, tylko wiele walczących ze sobą królestw. Żyły w nich rozmaite ludy i rasy. Żyły niesmiertelne elfy, niesmiertelne krasnoludy oraz wiele różnych ludzkich narodów i grup etnicznych: skosnoocy Nihongowie, ciemnowłosi Poludniowcy, jasnowłosi mieszkańcy Północy. Temu chaosowi położył kres nowy władca, który zjednoczył wszystkie ziemie, aby zaprowadzić jednolitą władzę. Nikt teraz nie może nawet śnić o życiu poza zasięgiem rządów Cesarza. Pozbawieni swej dawnej wyspiarskiej ojczyzny Nihongowie zostali płatnymi żołnierzami Cesarza. Elfy obcinają sobie spiczaste koniuszki uszu, aby upodobnić się do ludzi i nie razić nikogo swoją odrebnością. Bardziej upartym krasnoludom zdzierają się brody. Zakute w kajdany, muszą pracować w Cesarzkich Kopalniach. Wszyscy poddani Cesarza mają być równi, a to wyklucza różnice - nawet słowa "elf" i "krasnolud" są zakazane. Każde przewinienie karane jest okrutną śmiercią albo, co gorsza, zamknięciem w miejscu o nazwie Romb. Rombu wszyscy boją się bardziej niż karni. Część krasnoludów ukryła się w podziemnych kanałach pod ludzkimi miastami.

Wszyscy czczą Święty Obraz, wyobrażający powstanie ludzi. Zostali oni, jak mówi legenda, stworzeni przez tajemniczych Ukrytych, których postaci mają być widoczne na Obrazie. Niestety, prawie nikt jeszcze go w całości nie widział, ponieważ kapłani skrywają go za zasłoną i tylko od czasu do czasu odsłaniają fragmenty. Na tych niepokojących fragmentach widac strzępy ludzkich narządów, a także zmije i krety. Przypuszczenie, że ludzie powstały z tych zwierząt, nie jest wyraźnie sformułowane, ale istnieje chyba w każdej głowie.

Sprawę bardzo komplikuje fakt, że są różne wersje Świętego Obrazu i nikt nie wie, która jest prawdziwa. Dlatego gdy znakomity złodziej Vendi kradnie jedną z kopii i znajduje na niej coś ciekawego, traktuje to jako najważniejsze odkrycie swojego życia. Bezpiecznie chowa obraz i nawet na torturach nie zdradza miejsca jego ukrycia. Przed śmiercią wskazuje je swojej kochance Jondze.

Jonga pragnie pomścić śmierć kochanki, zabijając Cesarza, najważniejszego i pierwszego sprawcę wszelkiego zła, które ją otacza. W tym celu wkrecza się w szeregi słuzących Tundu Embroi, tchorzliwego Cesarskiego Generala. Zmusza go do zdrady i ucieka z nim w stronę Farsitan - Cesarskiego Miasta Niemych. Tam mieszkają wszyscy ci, którym Cesarz kazał wyrwać język. Tam też tchorzliwy general Tundu Embroja odkrywa osobiste powody do zemsty. Okazuje się, że gdy uciekł z Jonga, jego żona i synek zostali zesłani właśnie do Farsitan, gdzie brutalnie ich okaleczono.

Rownocześnie z miasta Biela Woda wyrusza na Polnoc specjalna dwuosobowa grupa zadaniowa, składająca się z pięknego majora Hengista i pięknej kapłanki, pani haruspik Virmy. Ich zadaniem jest odnalezienie, przewiezienie i oddanie do dyspozycji władz na Południu osobliwej kopii Świętego Obrazu, która podobno znajduje się w północnych regionach. Po drodze Virma wyznaje Hengistowi, że jest jego matka. Oboje są piękni i wyglądają młodo, ponieważ są elfami. Virma mówi o tym, że w rzeczywistości elfy są Ukrytymi i stworzyły ludzi. Nie wiedziały jednak, że te istoty będą tak pokraczne, a przede wszystkim - śmiertelne. Teraz część elfów ukryła się za morzami, na Śnieżnej Równinie. Ową lodowatą, znajdującą się poza Cesarstwem teren znany jest tylko elfom, które żyją tam dzięki ciepłodrzewom - specjalnym organizmom emitującym wysoką temperaturę. Porozumiewając się telepatycznie, elfy spiskują przeciw Cesarzowi w Cesarstwie i na Śnieżnej Równinie. Pragną odnaleźć oryginalny Święty Obraz, ponieważ dzięki niemu można rozłożyć śmiertelnych, nieszczęśliwych i okrutnych ludzi na mniej niebezpieczne składniki pierwsze - zmije i krety. To samo da się osiągnąć za pomocą pewnej melodii, ta jednak działa jedynie na tych ludzi, którzy ją słyszą, podczas gdy Obraz może zlikwidować wszystkich śmiertelników świata w tym samym momencie.

Virma zdradza Hengistowi, że za stworzenie ludzi, wynikające z przemożnego, ale niedojrzałego pragnienia miłości i ojcostwa, odpowiedzialny jest Mistrz - największy czarodziej wśród elfów. Ponieważ elfy rzadko mają dzieci, Mistrz chciał zapewnić im ojcostwo hurtem, tworząc rasę Dzieci Elfów. Te dzieci okazały się bardzo niesforne i nietrwale. Po tej katastrofie Mistrz przepadł, a krasnoludy obwinily elfy za nieszczęście.

Tak więc ludzie pochodzą od zmij i kretów, ale powstałi za sprawą elfów. Elfy zaś pochodzą od Pierwszego Elfa, który istniał od zawsze, jego niesmiertelność sięgała nie tylko w przyszłość, ale i w głąb przeszłości. Pochodzenie krasnoludów na razie jest nieznane.

Pierwszy tom kończy się sceną karmienia - Virma znowu przystawia Hengista do piersi. A elfie mleko ma niezwykle właściwości... Major słyszy myśli ludzi i zwierząt, odbiera ich wrażenia, odczuwa ich emocje. Tym trudniejszy i bolesniejszy staje się dla niego obowiązek zabijania. Na swojej drodze ciągle spotyka żywe, czujące i myślące przeszkody. Aczkolwiek nieraz myśla one mało i czują dość topornie, to Hengist musi się przezwyciężać, aby zlikwidować te nieszczęsne istoty niższe, zwane ludźmi. Przezwyciężając się i zabijając, dociera na Polnoc, gdzie ukrywa się w lesnej siedzibie niejakiego Ziofilattu Vortici - kupca, który niegdyś był księciem - i jego córki (czy tylko?). Następnie zostaje schwytany przez

Kłosztyrki. Jedyne sposob na uwolnienie się z tej niewoli to wymordowanie zbuntowanych kobiet... Rzecz jasna, Hengist nie kontaktuje się już ze swymi mocodawcą i zwierzchnikiem Barnaro z miasta Biela Woda. Ten wysłał śladem majora kolejnego agenta, kapitana Ritavartina, który ma odszukać i zaarrestować zaginionego wywiadowcę.

Na Polnocy, otoczony samymi przykładami jaskrawej niesubordynacji, Ritavartin traci pewność siebie. Aby znaleźć ślady Hengista - i aby lepiej zrozumieć dziwny świat, w jakim się znalazł - kapitan postanawia dokonać infiltracji doskonałej i stać się "polnocnikiem". Co udaje mu się osiągnąć poprzez praktykowanie kanibalizmu - który na Polnocy jest surowo wzbroniony... poza wypadkami, w których jest zalecany - oraz poprzez kopulacje z małymi, wyjacymi zwierzątkami, tzw. bumbonami (to polnocny sposób na uniknięcie poważniejszych grzechów).

Tymczasem ruda Jonga i tchórliwy general Tundu Embroja docierają do Palacu Cesarza, a nawet do jego komnaty... W tym samym kierunku podąża admirał Matsuhiro i jego Nihoncy, którzy chcą zemścić się na Władcy za zniszczenie miasta Shiwakyo. Ich zadanie z początku wydaje się wyjątkowo łatwe: nihonska flota przybyła zza morza, gdzie, jak wiadomo, nie ma nic. Nie może więc istnieć ani ona, ani jej wojownicza załoga. Dlatego nadmorscy żołnierze Cesarza nie pozwalają sobie na zobaczenie najeźdźców, na stwierdzenie ich istnienia. Dlatego też pozwalają im wymordować się bez najmniejszego oporu, stojąc na baczność i udając, że nic się dzieje. Niestety, gdy Nihoncy oddalają się od swych okrętów, znika wszelkie świadectwo wskazujące na zamorskie pochodzenie agresorów. Wtedy można ich zobaczyć i zabić... Albo poddać wstępny torturom.

Kiedy każdy z bohaterów zbliża się do celu swej wędrówki (Hengist - do Świętego Obrazu, Ritavartin - do Hengista, Jonga - do Cesarza), wszyscy zostają aresztowani. Do więzienia trafiają również mocodawcy i znajomi - Barnaro, Tundu, Ziophilattu, a także admirał Matsuhiro i niejaki Viran Watanabe, Specjalny Cesarski Kat, który w całym swoim życiu zawodowym torturował wyłącznie... Cesarza.

Wszystkich czeka Romb.

Kamień, przyłożony do czoła, dawał przyjemny chłodek. Agni przycisnął go jeszcze mocniej i odrzucił dopiero wtedy, kiedy otoczek się nagrzał. Chłupnelo - bokiem chodnika płynęło coś, co kiedyś musiało być strumieniem podziemnym, jednak teraz funkcjonowało jako rynsztok. Agni wtulił twarz w kamienną ścianę korytarza. Była jeszcze chłodniejsza niż kamień.

-Ja pomogę! Ja pomogę! - jęczał cienki, wysoki głos.

W sztolni numer siedem powietrze było gorące. Strumienie i żyły wodne chłodziły ściany, ale masa spoconych ciał, które nieustannie pracowały w tej zamkniętej, prawie niewentylowanej przestrzeni, sprawiała, że już po godzinie pracy robiło się ciepło, lepko i duszno. Krasnoludy co chwila przerywały robotę, zdejmowały przepocone sztuczne brody,

wachlowaly sie nimi, co nie dawalo jednak ulgi. Powiewy niosly ze soba tylko wiecej ciepla i sprawialy, ze Agni mogl zakosztowac zapachu nawet tych robotnikow, ktorzy pracowali w duzym oddaleniu. Tutaj pot byl wspolny.

-Ja pomoge! Ja pomoge!

Tutaj wszystko bylo wspolne. Jedzenie, picie, praca i nieszczescie. A wlasciwie wspomnienie nieszczescia. Bo po tym wszystkim, co sie wydarzylo, juz prawie nie odczuwalo sie tego, co bylo teraz.

-Ja pomoge! Ja naprawde pomoge!

Nieszczescie zaczelo sie kilka lat temu, kiedy to Agni zostal kopniety w kostke na ulicy miasteczka Wielkogrod, dawniej Mahapur. Przewrocil sie wtedy, z nogi spadl mu but, a z buta wyleciala specjalna wkladka, dzieki ktorej Agni wydawal sie wyzszy. Brode sam zgolil wczesniej, wiec mu jej nie zdarto. Zwiazano mu tylko nogi kolczastym drutem i powleczono na komisariat twarza do ziemi. Odkad ludzie przejele wladze w Mahapurze, jakosc bruku pogorszyta sie znacznie i Agni mogl sie o tym przekonac na wlasnym czole.

-Pozwolicie mi... Ja naprawde chce wam pomoc! Dajcie mi mlot! Zobaczcie, potrafie jakos utrzymac sie na no...

W Mahapurze administracja nalezala do Cesarskich Stalowych Fanatykow. Byla to specjalna formacja utworzona na potrzeby okregu gorniczego. Nauczono ich, ze zycie calej okolicy maja podporzadkowac jednemu celowi - wytwarzaniu stali, poczynajac od wydobycia rudy, poprzez wytapianie i obrobke. W zwiazku z tym nikt juz nie produkowal w regionie zywnosci. Poniewaz wystepowaly ciagle problemy z jej transportem, Biuro Prowincji Gornicznych wydalo Szmaragdowy Mandat Specjalny, sankcjonujacy kanibalizm wsrod wiezniow. Mialo to wygladac zgodnie z mechanizmem, jaki sobie obmyslil owczesny komendant regionu, pulkownik Wojta, ktory obliczyl, ze rocznie bedzie wymierac jedna czwarta mieszkancow regionu, co wystarczy na utrzymanie reszty przez nastepny rok. To znaczylo, ze na dziesieciu ludzi co roku umrze srednio dwa i pol czlowieka. Pozostale siedem i pol czlowieka bedzie jadlo te martwe dwa i pol. Dwa i pol czlowieka to osiemdziesiat dziewiec funtow solonej karmy bialkowo-tluszczowo-kostnej, co oznacza, ze siedem i pol czlowieka otrzyma rocznie dwanasce funtow takiej karmy na glowe. A z tego kolei wypada, ze jeden czlowiek codziennie otrzyma jedna trzydziesta funta karmy dziennie. "Jak ksiazeta bedziecie zyli, lepiej niz jak ksiazeta, jak Cesarscy Generalowie - krzyczal Wojta do kleszczacego tlumu gornikow. - A jak kogo smierc spotka, to zaszczytna, dla pozytku Cesarstwa i druhow".

-Bardzo glodny! Bardzo... Ale nie slaby! Mlot utrzymam, tylko zoba...

Nie wszystko jednak poszlo tak, jak Wojta sobie wyobrazal. Okazalo sie, ze umierajacy gornicy przewaznie byli zbyt wychudzeni, aby dostarczyc odpowiednia ilosc solonej karmy

białkowo-tłuszczowo-kostnej. A największym problemem byli więźniowie-pracownicy należący do lokalnej rzekomej mniejszości etnicznej. Nie wolno było tego mówić głośno, ale oni jednak czymś różnili się od ludzi. W ciemności widzieli jak koty, ich oczy same emitowały coś w rodzaju światła czy blasku, co pozwalało im orientować się nawet w najgłębszym mroku. I wylupywanie tych oczu nic nie pomagało, bo chyba jeszcze lepiej mieli rozwinięte te najbardziej "ciemnościowe" zmysły, którymi są słuch i węch. Raz wpuszczeni w podziemia, natychmiast stawali się ich panami. Zamordowanie nadzorców i rozkucie kajdan oskardami zajmowało im zazwyczaj kilka minut. Oczywiście, na zewnątrz nie mogli już wyjść, ale do nich też nikt nie mógł zejść. Ekspedycje karne nie powracały nawet w postaci sierwa. Być może, zgodnie z ogólnymi zaleceniami pułkownika Wojty dla okręgu górniczego, były zjadane. Co gorsza, na powierzchni nie wydostawał się też żaden urobek. A tu terminy gonily, wojsko domagało się zbroi i mieczy, huty - stali i zbliżał się niebezpieczny moment, moment Gniewu Cesarza. Wojta mógł poprosić wojsko o pomoc, ale wiedział, że oskarżono by go o nieskuteczność. Wysłał więc do kopalni jeszcze jedną ekspedycję karna, specjalną, składającą się nie tylko z Fanatyków, ale także z uzbrojonych członków rzekomej mniejszości etnicznej, przekupionych obietnicą wolności. Jak się jednak okazało, członkowie mniejszości od obietnicy wolności woleli samą wolność. Zmasakrowali Fanatyków i skumali się z pobratymcami na dole. Chociaż można powiedzieć, że tym razem ekspedycja przyniosła skutek. Na powierzchni bowiem ktoś wrócił. Był to dowódca ekspedycji i zastępca Wojty, niejaki Fumio Murakami. Murakami wrócił z listem od przywódcy buntowników, Waruny. Miał ten list ze sobą, a właściwie na sobie, bo wypisano mu go za pomocą dłuta na plecach. Małe ranki w kształcie run były kolejnym dowodem na to, jak dobrze więźniowie widzą w ciemności, a poza tym niosły ze sobą pewną propozycję. Waruna, tytułujący się Nadsztygarem i Lajaradzą Kopalni Mahapuru, zaproponował pułkownikowi Fanatyków następujący układ: regularne dostawy chleba, świeżych owoców, słoniny, piwa i sztucznych brod w zamian za regularne dostawy rudy. Wojta nie miał tyle piwa i owoców, nie mówiąc już o słoninie, chlebie i sztucznych brodach, aby zaspokoić te potrzeby. Oczywiście, mógł starać się skombinować pozyskanie, sprzedając wyroby stalowe na lewo Kwatermistrzom Armii Cesarskiej. Oni, szczególnie w regionach na północ od gór, sami sprzedawali po prostu wszystko, włącznie z mieczami i zbrojami. Potrzebowali więc tych artykułów bardzo pilnie. Wojta jednak nie mógł zdecydować się na handel z tymi, co swym uporczywym buntem obrazają Najświętsze Imię Cesarza. Postanowił przegłodzić buntowników, zapomniał jednak, że ci szalenci wierzą we własną nieśmiertelność, a choć bardzo kochają jeść, robią to - jak twierdzą - tylko dla przyjemności. Trudno było powiedzieć, czy naprawdę byli tak wytrzymali, czy też dotarli do podziemnych gestów zarybionych jezior, ale w każdym razie nawet po miesiącu nie pojawiły się żadne oznaki kapitulacji. Pojawił się za to Specjalny Wysłannik Cesarski, który zdjął Wojtę ze stanowiska i skazał go na zwyczajową karę przewidzianą dla nieskutecznych zarządców kopalni. Obcięto mu nogi do połowy łydki, tak aby upodobił się wzrostem do rzekomej mniejszości etnicznej, a następnie za pomocą długiej liny i wielkiego wiadra spuszczonego na dno jednego z głębokich szybow. Tam reszty kary mieli dokonać sami zbuntowani więźniowie. Ci jednak uznali, że powstrzymanie się od bezpośredniego zabicia komendanta może być zabawniejsze.

-Blagam was! Blagam was! Ulitujcie sie, przeciez... Przecie teraz jedziemy na jednym wozku... Ja wam pomoge!

Krasnoludy pchaly pod gore wozki wypelnione urobkiem. W jednym z nich lezal zwiazany czlowiek. W pewnym momencie trafiono na zyle rudy, ktora szla w gore, prawie pod powierzchnie ziemi. Wyrabano wiec chodnik, idacy w tym kierunku, i w pewnym momencie natknieto sie na zakopanego pod ziemia mezczyzne. Byl zamkniety w malutkiej jamce, do ktorej powietrze docieralo przez cos w rodzaju malutkiego korytarzyka, siegajacego zbocza gory. Jamka byla niewiele wieksza od swojego lokatora, tak ze podziemny czlowiek musial spedzac zycie w prawie calkowitym bezruchu. Nic tez nie jadal. Bylo to, jak mowily krasnoludy z dluzszym stazem w tej kopalni, kolejne takie znalezisko. Niektorzy ludzie zakopywali sie w ten sposob, aby znalezc sie poza Cesarstwem. Swiadomosc, ze sa wolni, dawala im sile, dzieki ktorej mogli bardzo dlugo wytrzymac bez jedzenia. Mysleli, ze wladza Cesarza nie siega pod ziemie. W przypadku krasnoludow z kopalni bylo to prawda, ale nie w przypadku ludzi. Krasnoludy predzej czy pozniej ich znajdowaly i dostarczaly wladzom okregu gorniczego razem z urobkiem. Byla to czesc umowy.

Agni trafil do kopalni juz po buncie. Nowy komendant okregu, niejaki Gajdar Talonpoika, podjal od razu dwie wazne decyzje. Po pierwsze, skazal na tak zwane "smiertelne pieklo" kolege Murakamiego za to, ze osmielil sie byc, choc nie do konca z wlasnej woli, nosicielem przerazajaco ohydnej i zdumiewajaco bezczelnej propozycji buntownikow. Po drugie, Talonpoika te przerazajaco ohydna i zdumiewajaco bezczelna propozycje przyjal. Pochodzil z Polnocy, gdzie takie układy nie byly niczym szczegolnym.

Dlatego tez Agni nie zostal nawet zakuty w kajdany. Po spektakularnym obiciu ryja o bruk zostal dostarczony na komisariat przed oblicze znudzonego Fanatyka w stopniu kapitana.

-Nie ma nic w tym zlego, ze jestescie niscy, ale to, ze nosicie wkładki w butach, oznacza, ze myslicie, ze jest cos w tym zlego, wiec w waszym mniemaniu nalezycie do rzekomo przesladowanej rzekomej mniejszosci etnicznej, za takie myslenie powinniscie zostac skazani na Romb, ale Nieskonczona Laskawosc Cesarza dobrotliwie skazuje was na dozywotnie ciezkie roboty w kopalni, hurra, niech zyje Cesarz, podpiszcie tutaj.

-Nie... umiem... - wybelkotal Agni, ocierajac krew z twarzy. Gdyby przyznal sie, ze umie czytac i pisac, mogliby go uznac za ideologicznego przywodce grupy rzekomej mniejszosci.

-I dobrze. Na chuja mi twój podpis! Badam cie tylko. Posiedzisz w lochu... To znaczy nie, ty w lochu nie. Ty posiedzisz w wiezy, dopoki ci broda nie odrosnie, wtedy ci ja wyrwiemy i jazda do kopalni.

-Nie... Da... Rady...

-Jak to nie da rady? Taka jest Wspaniala Procedura Okregu Gorniczego.

-Dlugo... Byscie... Musieli... Czekac... Jak zgolilem... Wydepilowalem sobie twarz

woskiem - sklamal Agni.

-Ha! To mi sie podoba! Zdrajca zamiast nas fatygowac, torturuje sie sam - zazartowal oficer. - To co tu z toba zrobic? Zeby nie uchybic procedurom, ustalimy z naszym katem, jaka tortura jest rownie bolesna, co wyrywanie brody. Poddamy cie tej torturze, a potem hajda do kopalni!

Kat wybral nakluwanie penisa rozzarzonymi iglami. "Jest troche stronniczy - powiedzial oficer. - To jego ulubiona tortura, ale coz... To on tu jest za eksperta". Skulony wpol, koslawo drepczacy naprzod Agni juz nastepnego dnia znalazl sie za brama kopalni.

-Nie strzelac, chlopcy! - krzyczal. - Niczym nie rzucac! Swoj idzie! Swam asmil

-Namaste i zamknij sie - cos nagle zachrypialo w mroku. - Zapomniales, ze hawierz na kopalni nie krzyczy?

Waruna, jak wiekszosc krasnoludow z okregu, mowil lepiej po miejscowemu niz po krasnoludzku. Tutejsi brodacze bardzo dobrze zyli z ludzmi. Kiedys.

-O, nakluwali cie? - zapytal Waruna, gdy lepiej przyjrzel sie Agniemu.

-Nie martw sie, bedzie zemsta na tego kata i na wszystkie ludzkie pomioty.

-Myslalem, ze macie z nimi ukklad.

-No, jest ukklad, ale on potrwa akuracik tak dlugo, az podminujemy caly Mahapur.

-Zaraz... Jak to?

-A tak to! Pociagnelismy chodniki w glab pod samo miasto. Jak przyjdzie rozkaz, usuniemy kilka kluczowych skalek i po ptokach. Miasto sie zapadnie. Duren Talonpoika nie wie, ze wygruzamy rude spod jego grubego tylka.

-I kiedy to zrobicie?

-Jak przyjdzie rozkaz, mowilem.

-Rozkaz? Czyj?

-No przecie, ze nie Talonpoiki. Nasz krol, Skanda, zywy jest i rzadzi!

-A gdzie?

-A gdzie... A gdzie... Nie kazdy moze wiedziec. W kazdym razie znajdzie sposob, zeby dac nam znac. Wszystkie miasta ludzkie legna w gruzach. A ludzie pod gruzami. Pod wszystkimi ludzkimi miastami ryja chlopaki!



-Ale... Wtedy kopalnie tez sie zawala. A co z nami bedzie?

-O, kochany. Dotknij tego. Co to?

-Kamien.

-Nie, kochany. Materia. A dotknij tego?

-To ty. To znaczy, twoja reka.

-Tez materia, bratku. Ja to materia. Ty to materia. Wiecej, ja to byt i ty to byt, jak ten sam kamien. Kamien, jak go rozwalisz czy roztopisz, to nie ginie, tylko zmienia stan skupienia. Z nami bedzie tak samo.

-Zmienimy stan z zywego w nieozywiony.

-Gówno prawda! Nigdy nie sluchaj, jak ci ktos bedzie mowil, ze jest materia ozywiona, nieozywiona... To elfie przesady. Elfy wierza w zycie, ze ono jest swiete, tralala, i ze jest czymś innym od niezycia. A tu nie ma zycia, jest tylko bycie. Nie ma zwierzat, elfow, kamieni, sa tylko byty. Ty, Agni, jestes byt. Jak cie cos zgniecie, to nie znaczy, ze zniknales, tylko ze chwilowo utraciles zdolnosc poruszania sie. A jak sie rozlozysz, to znaczy odzyskales zdolnosc poruszania sie w postaci malych strumyczkow i oparow roznych substancji, ale to nadal bedziesz ty. Bo widzisz... Ja nie jestem zaden wielki mysliciel. Ale jestem gornik i metalurg. Specjalista od materii. Jak zaczniesz zadawac sobie pytanie, czym jest materia, to na najglebszym poziomie bedziesz mogl powiedziec sobie tylko tyle, ze wiesz, ze materia jest. Tylko tyle: jest i koniec. Tyle samo, nie wiecej, mozesz powiedziec sobie o sobie samym, kiedy zaczniesz rozgrzebywac to, kim ty sam jestes. Jestes i tyle. Co to znaczy? Ze z materia i z toba jest taka sama sprawa. Ze materia to byt i ty to byt. A wiec jestescie tym samym. Drobne czasteczki twojego ciala zawsze jakos przetrwaja, wiec i ty przetrwasz.

-Niby to wszystko wiadomo - westchnal Agni - ale nadal trudno uwierzyc, ze swiadomosc nadal istnieje, mimo ze materia tak bardzo sie zmienila.

-Materia sie nie zmienila. Byt sie nie zmienil. Zmienil sie tylko jego ukklad. Elfy wierza, ze swiadomosc to pewien ukklad. Ukklad, mowia, moze sie wiecznie odnawiac, moze nawet wymieniac poszczegolne elementy na inne, na przyklad wysrac kukurydze i zjesc kuropatwe, ale poki sie nie zmienia jako ukklad, wtedy trwa swiadomosc. Tyle ze to glupota. Ukklad sklada sie z czesci, bez nich lub z innymi czesciami to juz jest inny ukklad. Swiadomosc to nie ukklad materii, tylko jej zbior, jak w matematyce. Zbior moze sie rozprzestrzenic po calym swiecie, ale z punktu widzenia matematyka nadal jest to zbior takich a takich, konkretnie okreslonych i niepowtarzalnych czasteczek, tyle ze bardzo rozprzestrzeniony po swiecie. Elfom nie przychodzi do glowy, ze to, co wysraly, nadal jest czescia nich, czescia ich swiadomosci, tyle ze troche sie to rozmazalo po swiecie. Tak ze nie wierz w ukklady, bratku. Tylko elfy i Talonpoika wierza w układy. A wlasnie, w tym ukkladzie, co go mamy z

Talonpoika, jest taka rzecz... Pisac umiesz?

-No pewnie.

-Dewanagara czy po ludzku?

-I tak, i tak. Elfimi emotikonami tez.

-Inteligent mi sie trafil.

-Tym sam jestes niezly inteligent, Waruna.

-Ale techniczny, kochany, techniczny. Bo widzisz, do tej pory to ja tutaj najlepiej pisalem. Nawet dlutem i to na czlowieku, ha, ha! List do komendanta wyslalem na jego zastepcy! I Talonpoika storturowac kazal tego Nihonca. A wczesniej sam wlasnorecznie zdarl mu z plecow skore z listem, a na piersiach wypisal nozem: Cesarz, Cesarz, Cesarz. Nic wiecej nie umial wyciac, ludzkie maslane rece.

-Skad to wiesz?

-Sam wszystko widzialem. W miescie jest wiele opustoszalych domow, mamy tam podkopy. Nawet pod lochy Talonpoiki sie podkopujemy! A jak kaznili Nihonca, stalem w oknie pustej kamienicy przy rynku i wszystko sobie ogladalem.

-Zaraz... To my moglibysmy stad uciec?

-Pewnie. Ale tkwimy na posterunku. Trzeba ludzi wygubic, miasto zniszczyc.

-Szkoda.

-Szkoda?!

-Nie... To znaczy... Nie, chcialem powiedziec, ze szkoda... Szkoda, ze nie zabijemy ich do konca, bo przeciez ich materia tez jakos przetrwa.

-No i tu sie mylisz, kochany. Ludzie zostali stworzeni przez elfow, zgodnie z ich swiadomoscia, i funkcjonuja wedlug swiadomosci elfow. Elfy wierza, ze swiadomosc to ukklad. Kiedy zniszczy sie ukklad, jakim jest czlowiek, to jego swiadomosc jako czlowieka zginie raz na zawsze.

-No dobra, ale mowiles, ze swiadomosc jest nawet w najdrobniejszych czasteczkach ciala. Jak czlowieka sie zabije, to przeciez czasteczki pozostaja.

-Ludzie powstali ze zmij i kretow. Ich swiadomosc to jakby zbuntowana przez elfy swiadomosc zmij i kretow... Albo nie tyle zbuntowana, ile wplatana w pewien elfi ukklad. Wystarczy zniszczyc ten ukklad, a wtedy czasteczki ludzi i ich swiadomosc powroca do zmij i

kretow. Powroca do zbioru czasteczek, jakim jest zmija albo kret. Rozkladajace sie ludzkie cialo to jest taka czesc kreta jak to, co kret wysral.

-Albo zmija.

-Albo zmija. Ale wracajac do najwazniejszej sprawy: pisac umiesz, wiec uwolnisz mnie od jednego kopotliwego obowiazku.

-Czyli?

-Talonpoika musi codziennie wysylac na dwor tak zwanego Cesarza meldunek o kolejnych dziesieciu krasnoludach, ktore poprosily o torture rozciagania. Niby ze z patriotyzmu postanowily zwiekszyc swoj wzrost, aby swoim cialem nie budzic podejrzen, ze rzekoma mniejszosc etniczna jednak istnieje. Do meldunku musza byc dolaczone Radosne Protokoly Przesluchan torturowanych. Talonpoika stwierdzil, ze zaden czlowiek ich tak nie wymysli, zeby w Szafirowej Kancelarii uwierzyli, ze to prawdziwe protokoly. Ze niby my, rzekoma mniejszosc etniczna, wyrazamy sie specyficznoscia, wiesz, tak jak to ludzie wierza, ze krasnolud to nic tylko: "Hoho, gdziez to w rzyc chedozone piwo", albo: "Haha, lajdaki zaraz poczuja moj toporek". No wlasnie, gdziez ten w rzyc chedozony pergamin... Masz. Masz i pisz. Bedziesz mial jedna godzine wolna od fedrunku na to pisansko.

-Ale co mam pisac?

Przesluchiwany I: Hurra! Moje w rzyc chedozone miesnie wydłużają się w oczach!

Przesluchiwany II: Hurra! Czuje, że ludzieje!

Komendant: A nie byles wczesniej czlowiekiem?

Przesluchiwany II: Bylem! Bylem, ale w bledach tkwilem! Bylem, ale tego nie czulem!

Komendant: A teraz czujesz?

Przesluchiwany II: A teraz czuje bol i radosc, czyli to, co w kazdej chwili swego istnienia winien czuc czlowiek! Bo taka jest istota ludzkiego bytu! Bez bolu i radosci, bez bolesnych radosci i radosnych bolesci czlowiek nie bylby w pelni czlowiekiem!

Komendant: Slucham?

Przesluchiwany II: Nie bylby w rzyc chedozonym w pelni czlowiekiem!

Komendant: Aha.

Przesluchiwany I: Przykrecaj mocniej srube, dzielny komendancie! O Cesarzu! Daj mi polec w twojej sluzbie! Niech twoi wrogowie-lajdaki poczuja moj toporek!

Komendant: A wrogowie nie-lajdaki?

Przesluchiwany I: Ha, czujnyś, komendancie! Nie ma wrogów Cesarza nie-lajdaków, wszyscy w rzyckich chodzeniach wrogowie Cesarza są lajdakami!

Komendant: Dobrze... Jak tak dalej pójdzie, dostaniesz się do Rombu!

Przesluchiwany I: Hurra! W rzyckich chodzeniach chwala wspaniałej woli Cesarza!

Komendant: Słucham?

Przesluchiwany I: To znaczy, na wiek nieskonczona chwala wspaniałej woli Cesarza!

Komendant: Czyżby były w tobie jeszcze jakieś wątpliwości co do wspaniałości Cesarskiej chwały?

Przesluchiwany I: Są, albowiem nikczemny ze mnie lajdak! Ale tortura mnie oczyszcza.

Komendant: A Romb na pewno.

Przesluchiwany II: Niech żyje Romb!

Przesluchiwany I: Niech żyje Cesarz!

Przesluchiwany II: Niech nie żyje w rzyckich chodzeniach ja, a niech żyje Cesarz!

Komendant: Błuznierstwo! Zdradziłeś się wreszcie! Cesarz pragnie życia każdego ze swoich poddanych, nawet twojego! Dlatego, chociaż jesteś w rzyckim chodzeniu lajdakiem, a teraz to naprawdę będziesz w rzyckim chodzeniu za pomocą żelaznego, kolczastego i rozgrzanego do czerwoności drąga - to nie masz prawa krzyknąć "niech nie żyje w rzyckim chodzeniu ja!". Kacie, rozgrzej kolchofiut!

Przesluchiwany II: Niech żyje Komendant! Niech żyje Ceee...!!!

-Witaj w Rombie.

-Mamo... Jednak mnie odnalazłaś...

-Nigdy cie nie zgubiłem. Ale teraz mów do mnie "Tato". Albo lepiej "Ojciec".

-Ma... mo? Ty... Jesteś...

-Po prostu jestem. Kiedy będziesz rozmyślał nad tym, kim ja jestem, to na końcu dojdiesz tylko do tego, że ja jestem. Nic więcej nie da się powiedzieć. I ja sam, kiedy zagłębie się w siebie, nie powiem ci nic więcej. Pamiętam tylko, że zawsze byłem. I zawsze byłam. I od zawsze coś z tym próbowałem zrobić. I próbowałam. Przez całą wieczność onanizowałem

sie, bo ja jestem od zawsze. - Co?

-Onanizowałem się. I starałem zrobić to tak zmyslnie, żeby się zapłodnić. Ale ciągle coś się nie udawało. Musiałem bardzo szybko zmieniać pleć, zanim sperma zgnije. A to nie jest łatwe dla elfa, to jest proces instynktowny, nie dzieje się tak po prostu, na zawołanie. Aż nagle, po wieczności, udało się. Urodziłam Drugiego Elfa! Nie masz pojęcia, co to była za radość. Splodził ze mną całą masę innych elfów. A ja wszystkim mężczyznom urodziłam dzieci i wszystkim kobietom splodziłam. Bo okazało się, że wśród elfów tylko ja jestem płodną istotą. Tylko ze mną elfy mogły mieć dzieci. Tylko ja mogłam zapłodnić elfkę, tylko ja mogłam urodzić elfowi dziecko. Przez jakiś czas byłem mężem wszystkich kobiet i żoną wszystkich mężczyzn, ale one zaczęły łączyć się w pary między sobą. To było dla mnie bolesne doświadczenie. Bol opuszczonej matki. I ojca. Prawdziwy ból macierzyństwa i ojcostwa. Ale chciałem im pomóc... Może nawet bardziej chciałem, niż chciałam. Dlatego, gdy zrobiłem im ludzi, byłem Mistrzem, nie Mistrzynią.

-Ale zaraz... Przecież mówiłaś mi... Że mój ojciec znalazł cię jako kobietę... A znalazł też mistrza...

-Nie wiedział, kim jestem. Moje myśli czuły zupełnie inaczej, kiedy myślałam jako kobieta. Czasem nawet myślałam z nim na dwa głosy, jako dziewczyna i jako Mistrz. Nie zorientował się. Póki nie urodziłam mu ciebie.

-Mamo... Skoro wiedziałas... Gdzie jest Obraz... Dlaczego go nie skonfiskowałaś? Dlaczego nie wysłałaś żołnierzy! Mogłaś zobaczyć obraz, szybko dokonać obrzędu według tego, co tam namalowane, i zmienić ludzi z powrotem w zmię i krety!

-Ale synku... córeczko, przecież ja doskonale wiem, jak dokonać tego obrzędu. Sam go dokonałem. To przecież ja namalowałem Święty Obraz!

-To dlaczego tego nie zrobisz?! Dlaczego mnie wysłałaś po Obraz?! Po co w ogóle jest Obraz?! Po co go namalowałaś?!

-O wszystkim dowiesz się później. Najpierw tortury.

-Witaj, generale Tundu Embroja. Stary druha. Wiedziałeś, że prędzej czy później tu się spotkamy, co?

-Wie... Wiedziałem. No bo przecież każdy tu w końcu trafi...

-Chyba że wcześniej trafi na szafot. Niestety, ze względów logistycznych okazało się, że część skazanców musi być karana na miejscu. Transport nadal nie rozwija się tak, jak powinien. A poza tym konieczny jest przykład. Przykład, dzięki któremu ludzie nie tylko podporządkują się Blogosławienstwu Moich Planów, ale także zaczną doceniać bardziej własne życie, bardziej się nim cieszyć, bardziej cieszyć się każdą jego sekundą już tylko z tego powodu, że żyją... Co jest podstawą odpowiedniego docenienia Blogosławienstwa

Moich Planow. Dlatego z ciezkim sercem pozwolilem kazdemu trybunalowi na skazywanie polowy skazanych na krotkie, gora kilkudniowe egzekucje.

-Co ze mna bedzie?

-Raduj sie. Zostaniesz poddany Wspanialej Cesarskiej Procedurze.

-Wybacz mi, Panie... Pani... Panie, wybacz, ale nie bede sie radowac.

-Dlaczegoz to?

-Bo nie ma z czego. Bo ide na tortury!!! Bo w ogole sa tortury!!! Bo w twoim Cesarstwie jest zlo, samo zlo, sam bol!!! Dlaczego ten bol?!!! Dlaczego ludzie maja byc mordowani?!!! Moze mi powiesz, zanim mnie zabijesz?!!!

-O, ja ciebie nie zabije. Wrecz przeciwnie, zrobie wszystko, zebys byl wiecznie.

-Co?!

-Moj drogi, mylisz sie bardzo, mowiac, ze w Cesarstwie jest sam bol. W Cesarstwie jest nieskonczona ilosc bolu, i to bardzo dobrze. Czlowiek powinien zaznac jak najwiecej bolu. Ale w Cesarstwie jest tez nieskonczona ilosc radosci. Czyz nie ma chwaly Cesarza? Czyz usmiechniete twarze nie wykrzykuja na czesc Cesarza radosnych okrzykow? Czyz serc nie przepelnia wtedy nieskonczona radosc?

-Nie. Na pewno nie.

-Tak. Na pewno tak. Bo nic nie moze sie rownac nieskonczonej radosci czlowieka, ktory przed chwila myslal, ze zaraz umrze, a teraz widzi, ze jednak pozyje. Dlatego kiedy tłum na placu wiwatuje pod groza lucznikow, wtedy kazdy w tym tłumie myśli, ze to w niego strzela, ze to on moze okazac sie tym, co wiwatowal najmniej glosno. I kiedy sie okazuje, ze nikogo nie zastrzelono, tłum staje sie jedna, wielka, zywa, wrzaca radoscia... Naprawde, warto zyc dla tej chwili, w ktorej widzi sie ich wszystkich z gory. Jak dobra, goraca, gotujaca sie zupe. Czasem mysle, ze dla takiej chwili warto byloby nawet zyc zyciem smiertelnika, nie-wiecznie...

-A Ty, panie, zyjesz wiecznie?

-Wazne, drogi Embroja, ze ty bedziesz byl wiecznie. A w kazdym razie zrobimy wszystko, abys wiecznie byl. Czeka cie wielka radosc i wielkie cierpienie. Jak juz powiedzialem, czlowiek powinien doznac jak najwiecej bolu. I powinien zaznac jak najwiecej radosci. Tylko w ten sposob bedzie w pelni czlowiekiem. Rozumiesz?

-Nie.

-Człowiek jest istotą niesamodzielną. Nie jest w stanie przetrwać długo. Nie jest w stanie przetrwać życia z jego wstrząsami. Rozpada się od nich. Na tym polega tak zwana ludzka naturalna śmierć. Trzeba człowieka na te wstrząsy uodpornić. Trzeba wprowadzać w niego stopniowo narastający ból i stopniowo narastająca radość, za każdym razem zatrzymując się na granicy wytrzymałości. W ten sposób za każdym razem ta granica troszeczkę się przesunie, tak jak to jest przy każdym treningu. I w końcu człowiek stanie się tak odporny, tak bardzo odporny... Ze aż odporny na śmierć. Oczywiście, przy tej metodzie łatwo jest przesadzić...

-A jakie czekają mnie radości?

-Przede wszystkim ta, która odczujesz zawsze wtedy, gdy zorientujesz się, że nie przesadziliśmy. Gdy zatrzymamy się tuż przed granicą wytrzymałości i zrozumiesz, że tym razem też nie umarłeś.

-Nie chce.

-Chcesz uniknąć szansy na życie wieczne? Dla twojego dobra nie mogę ci na to pozwolić. Ale na razie nie masz się czego obawiać. Najpierw czekają ci radości. Jesteś stary, musisz się trochę wzmocnić. Tutaj, w Rombie, nateżenie cierpienia jest tak wielkie, że dla właściwej równowagi wstrząsów wprowadziłem jeszcze inne, dodatkowe radości. Dodatkowe w stosunku do tej standardowej z uratowania życia, która mniej więcej raz dziennie czują ludzie poza Rombem. Dlatego zanim sam pojedziesz na tortury, pozwolę ci potorturować.

-Nie chce.

-Chcesz. Każdy człowiek uwielbia zadawać ból. Ja nie, ale ja nie jestem człowiekiem. Natomiast w każdej ludzkiej istocie jest odruchowe pragnienie zadawania bólu. Ono zostało zatarte przez to, czego nauczyły was elfy. Elfy uczyły was dobra i niektórzy z was dość pojeźni nauczyli się dobrze udawać. Nawet przed samymi sobą, tak was wytresowano. Ale wy nie stanięcie się dobrzy, dopóki nie stanięcie się niesmiertelni. Świadomość okrutnego losu, na który każdy z was jest skazany, czyni was nieczulymi na innych. Każdy z was chce zadawać ból i śmierć z prostego logicznego powodu. Kiedy zadajesz ból i śmierć, myślisz: "To ja zadaje ból i śmierć, a więc jestem panem bólu i śmierci, a więc one mnie nie dotyczą, nigdy mnie nie dotkna, nigdy nie skierują się przeciwko mojemu panu". To oczywiście nie jest racjonalne, ale bardzo logiczne i dlatego przekonujące. Zło daje wam złudne poczucie wyzwolenia od zła. Zadawanie bólu i śmierci daje wam złudne poczucie wyzwolenia od bólu i śmierci. Każdy kat w Cesarstwie czuje się Cesarzem.

-Nie chce.

-Będziesz chciał, jak ci powiem, kogo będziesz mógł storturować aż do granicy śmierci, postraszyć egzekucją i wielokrotnie zgwałcić. To przecież to twoje rude nieszczęście,

Jonga, ta złodziejka, wyciągnęła cię z domu, to ona skazała na poniewierkę, to ona sprawiła, że jesteś tutaj, gdzie, jak twierdzisz, być nie chcesz, wreszcie to przez nią twoja żona i synek zostali poddani amputacji języka, a teraz trafili tutaj...

-Nie!!!

-A nie mówiłem, że będziesz chciał?

-Będziesz cierpieć.

-Pierdol się.

-Będziesz cierpieć.

-Pierdol się.

-Będziesz cierpieć.

-Pierdol się, Tundu! I to ty masz mnie torturować! To jest chyba największa zniewaga. Już gorsza od tych tortur.

-Krzyczysz, pyskujesz, a tak naprawdę zabki dzwonia.

-Akurat.

-Boisz się.

-Ciebie najmniej.

-Bede cię torturować.

-Ciekawe jak.

-Ciekawe? Pewnie. Ciekawe i straszne. Chcesz wiedzieć, choć wiesz, że lepiej nie wiedzieć. Już samo to jest niezła tortura, co?

-Pierdol się, Tundu.

-Wiesz, co mam w tym garnuszku? To mrowki wodne.

-Pierdol się!!!

-Trochę większe niż zwykle mrowki. Żyją w wodzie. Najlepiej czują się w wodzie wypełnionej substancjami organicznymi. Dlatego chętnie gnieźdzą się we wnętrznościach topielców. Ale płynami organicznymi żywego człowieka też nie pogardzą. Doskonale czują się w chwoi.



-Pierdol sie!!!

-Mysle, ze nie musze ci objasnac, czym jest chwoja. Kiedy zostana wprowadzone do twojej pochwy, podraznia ja na tyle, aby zaczal wydzielac sie plyn. Nie wiem, bo nie jestem kobieta, ale to moze byc nawet przyjemne. Oczywiscie, to nie jedyna rzecz, ktora ci zrobia. Za pomoca swoich zuwaczek jadowych przerobia ci pochwe na kotlet mielony... Widzialas kiedyś kotlet mielony? Nie, za mloda jestes. Poprzez rozmaite plyny organiczne mrowki rozejda sie po calym twoim ciele. Dostana sie do krwiobiegu, do limfy, do sliny, beda w twoich zylach, plucach, w sercu i w koncu cala cie przerobia od wewnatrz na ten kotlet mielony. Ale nie zabija cie, o nie. Doprowadza do granicy smierci, ale nie zabija, bo ty bedziesz ich zywicielem. A my bedziemy twoim zywicielem. Bedziemy cie karmic dobrze, moze nawet kotletem mielonym. Tak, abys zyla razem ze swoimi mroweczkami jako zywa papka. Papka papka karmiona.

-Tundu, skurwysynu... Co oni ci zrobili?

-Nie, Jonga. Co ty mi zrobilas... Przez ciebie moja zona i synek dostali sie tutaj, do Rombu. Gdybys mnie wtedy nie napadla... Teraz sam dla ciebie wybralem torture, ze wszystkich najgorszych rzeczy swiata, sam dla ciebie te mroweczki wybralem, sam je wymyslilem, sam sobie przypomnialem o nich, sam je kazalem sprowadzic z Polwyspu Poludniowego, dla ciebie.

-Nie dla niej, Tundu, nie dla niej.

-Jak to? Panie... Pani... Jak to?

-Wszystko, co wymysliles dla Jongi, zostanie zastosowane wobec twojej zony i synka.

-Panie!!!

-Witaj w Rombie, Tundu.

-Czy radujesz sie, Barnaro?

-Tak, Pani... Panie. Jak moglbym nie radowac sie z daru Cesarza?

-A z czego radujesz sie bardziej, z samego daru, czy z tego, ze jest to dar Cesarza?

-Z tego, ze jest to dar Cesarza!

-Niedobrze, Barnaro, niedobrze. Cesarz jest laskawy, Cesarz nie chce, aby ludzie myśleli o nim, Cesarz chce, aby ludzie radowali sie swoim wlasnym szczesciem.

-Tym tez sie ciesze! Ale nic nie moze powstrzymac potokow mojej zywiolowej wdziecznosci!

-I wymowy, jak slysze. Dobrze. Czy masz jakies pytania?

-Tak, Pani... Panie. Chcialem wiedziec, kiedy bedzie wiadomo, ze osiagnalem juz niesmiertelnosc. Wtedy bede mogl przestac umierac.

-Barnaro... Jestes aktorem.

-Tak, Panie.

-Jestes artysta.

-Tak, Panie.

-Nie wymaga sie wiec od ciebie myslenia logicznego. Ale mimo to zastanow sie, kiedy w ciagu zycia jakiegos czlowieka mozna stwierdzic, ze stal sie on niesmiertelny?

-Nie wiem.

-Nie mozna tego stwierdzic. Mozna tylko stwierdzac, ze czlowiek nadal zyje - poki zyje.

-Ale jezeli nieustannie umierajac, ja sie na tyle uodpornie na smierc, ze przezyje sto lat...

-Nawet jesli na tyle sie uodpornisz, ze przezyjesz tysiac lat, to jeszcze nie znaczy, ze jestes niesmiertelny. Zwolnilbym cie z umierania, a tu by sie nagle okazalo, ze uodporniles sie tylko na tyle, zeby przezyc dziesiec tysiecy lat. I po dziesieciu tysiacach lat bec - umrzesz mi definitywnie... Nie, Barnaro, nie bede tak niedbaly. Nie bede tak okrutny. Bedziesz umieral nieustannie.

-Nieustannie? To znaczy jak dlugo?

-To znaczy wiecznie. Ale to przeciez lepsze niz smierc, prawda? Nie ma nic gorszego niz smierc. A moze jednak wolisz umrzec? Nie bede cie do niczego zmuszal. Jezeli wolisz umrzec, powiedz tylko jedno slowo, a umrzesz w okamgnieniu. Wolisz umrzec?

-Nie, Panie!

-Mowisz to, bo sie mnie boisz?

-Nie!

-Na pewno?

-Na pewno, Panie!

-Witaj w Rombie, Barnaro.

Agni usłyszał dyszenie i poczuł zapach Waruny. Waruna pocił się silniej niż inne krasnoludy, może dlatego że dostawał specjalny, kierowniczy przydział piwa.

-Wstawaj, Agni - syknął.

-Co się dzieje?

-Cicho... Idziemy.

Szli korytarzem, mijając chrapiące pod ścianą krasnoludy. Strumień rynsztek cuchnął moczem. Przydział piwa, jakie dostawały pozostałe krasnoludy, też nie był mały.

Po kilkuset krokach skręcili w lewo, potem wykutymi w skale schodami wdrapali się pod górę. Znaleźli się w jaskini o dnie pokrytym masą zardzewiałego żelastwa. Agni zorientował się, że to łańcuchy i kajdany, ale nawet nie pytał, skąd się tutaj wzięły.

Pod jedną ze ścian stała drabina. Waruna wspinał się po niej do małego otworu, w którym następnie zniknął. Agni podążył jego śladem.

Znowu byli w ciasnym i wąskim korytarzu. Wreszcie dotarli do dużego glazu. Wydawało się, że nic go nie ruszy z miejsca, Waruna jednak podważył go leciutko oskardem i glazisko osunęło się w bok, odsłaniając małe żelazne drzwi. Krasnolud otworzył je straszliwie skrzypiącym kluczem i wprowadził Agniego do ceglanej, cembrowanej piwnicy.

-Gdzie jesteśmy? - zapytał szeptem Agni.

-W miejscu, gdzie można spokojnie porozmawiać - odpowiedział Waruna - Dostałem wiadomość od króla. Zostałem oficjalnie mianowany Lajaradzą Mahapuru.

-Gratulacje.

-Chuj z gratulacjami. To znaczy, że dopuszczono mnie do planów Skandy. Mam wyznaczyć specjalne komando przeznaczone do najważniejszego zadania. Mam je wyznaczyć spośród naszych chłopców.

-Dlaczego spośród naszych?

-Bo nasza grupa uznano za najlepszą. Udalo nam się oficjalnie zbuntować i pozostać bez kary. To jedyny taki przypadek w całym Cesarstwie.

-A pozostałe grupy?

-Pozostałe grupy się ukrywają i nikt nie wie o ich istnieniu, może poza paroma elfami.

-To niedobrze, że te miękkie futki wiedzą.

-Ale nawet one nie wiedza, jak sie do nich dostac. A my zrobilismy inaczej niz wszyscy. Pokazalismy Cesarzowi gola dupe i powiedzielismy: o, tu na kant mozesz nam wskoczyć.

-Zeby nie wskoczył.

-Nie wskoczy i ty sie do tego przyczynisz, kochany. Postanowilem wyznaczyc cie na dowodce komanda.

-Mnie? Ja zawsze zajmowalem sie praca biurowa...

-Wlasnie dlatego. Znasz sie na mapach, wiesz, gdzie sa jakie drogi, skad ida jakie transporty, gdzie mozna sie schowac miedzy beczkami ze sledziami. A poza tym, ty jestes tutaj najinteligentniejszy.

-Dziekuje.

-To znaczy, nie liczac mnie.

-Na czym polega zadanie?

-Trzeba zniszczyc Romb.

-Co?!

-Trzeba podkopac sie pod Romb i zburzyc fundamenty tak, zeby wszystko sie zawalilo. Ale nie martw sie, jesli chodzi o robote kopalniana... I o mokra robote... Dam ci paru fajnych chlopakow.

Fajne chlopaki nazywaly sie Yudi, Ardzu, Bima, Naku i Saha. Kiedy wylezli na powierzchnie, mozna bylo sie przekonac, ze reprezentuja wszystkie spotykane wsrod krasnoludow odcienie karnacji i koloru wlosow. Yudi byl rudy i piegowaty. Ardzu mial jasne wlosy, jasna skore i ogromny, krzywy nos. Naku i Saha byli ciemnymi blondynami o szarawej, przycmionej cerze, charakterystycznej dla krasnoludow, ktore dlugo pracowaly w kopalni wegla i ktorym drobiny mialu wzarly sie w skore. Bima mial wlosy czarne i krecone, ktore od potu i loju skrecaly mu sie w smieszne, sterczace warkoczyki. Twarz mial czarnobrunatna, jak wszystkie krasnoludy z poludnia, nos plaski, bialka oczu i zeby jasne jak mleko. W kopalni nawet najbystrzejsze krasnoludy z trudem go dostrzegaly, jesli zamkнал oczy i usta. Doskonale powinien wtapiac sie w noc, co Agni postanowil przy najblizszej okazji wykorzystac.

Wylezli na powierzchnie poprzez studnie. Dokopali sie do niej, ryjac pod opuszczona gornicza wioska, ktorej mieszkancy zostali wszyscy zjedzeni. Zaczepili o brzeg cembrowiny drabinke z hakami. Agni wylazl pierwszy, zeby sie rozejrzec.

-Dobra - syknal w dol. - To chyba ta wioska. Nikogo nie widac. Ide.

-Jakby cie przyaresztowali, to kwiknij albo co... - zaproponował Bima. - Zebysmy wiedzieli.

Agni nie kwiknal i cala reszta powoli zaczela gramolic sie pod gore. Ich oczom ukazaly sie typowe chlopsko-gornicze chatki, okragle, z wysokimi, sterczacymi w gore, stozkowatymi dachami, trzy razy wyzszyimi od samego pomieszczenia mieszkalnego. Takie dachy, specjalnie wzmacnione, stanowiły jedyna ochrone przed gradem. W tym gorskim regionie grad zdarzal sie czesto, i to o wiele intensywniejszy niz na rowninach. Najgorsza byla wielkosc i ksztalt ziaren - praktycznie rzecz biorac, byly to prawie sople.

Agni ostroznie zajrzal do jednej z chat. W srodku, jak to u gornikow-ludzi, nie dostrzegł prawie zadnych mebli. Zamiast stolu przez srodek chalupy biegła belka, mniej wiecej na wysokosci ludzkiej piersi, umocowana oboma koncami w przeciwnych scianach. Wyraznie dzielila pomieszczenie na dwie czesci. Na belce gornicy stawiali jedzenie i pozywiali sie na stojaco. Nawet teraz lezalo na niej kilka pociemnialych ze starosci ludzkich kosci. Mimo ze obgryzano je zapewne bardzo dawno, widac bylo jeszcze slady szczek. Ci, co te kosci jedli, musieli byc bardzo glodni i wgryzali sie, jak mogli, choc wielu zebow pewnie nie mieli.

Na klepisku lezalo cos, co z wygladu przypominalo brunatne nalesniczki. Byly to ludzkie gowna w najwyzszym stopniu rozkladu i wyschniecia. Kiedy gowno lezy w sprzyjajacych warunkach, po tygodniu jest puste w srodku, mimo ze nadal zachowuje swoja zewnetrzna forme. Po dwoch tygodniach zapada sie w sobie i staje plaskie. Po miesiacu znika, a wlasciwie zaczyna istniec rozpuszczone w otaczajacej je materii. Bo tak naprawde w przyrodzie nic nie znika, zmienia sie tylko stan skupienia.

Gowna nie mogly pochodzic od mieszkancow wioski. Ci zostali zjedzeni najpozniej przed rokiem. Ktos musial tu srac przed trzema tygodniami. Z rzadka, bo z rzadka, ale jednak...

Ludzie tu chodzili.

-Spadamy stad - syknal Agni. - W srodku sa gowna!

-I co, tak sie ich przestraszyles? Gowna nie gryza - zarechotal Bima.

-Cicho! - powiedzial Yudi. - Spadamy. Gowna to ludzie.

-A ludzie to gowna - dodal cicho Bima.

Kiedy znalezli sie w jakichs bezpiecznych zaroslach - bezpiecznych, bo straszliwie cuchnacych, tak bardzo, ze krasnoludy ledwo wytrzymywaly, a czlowiek na pewno nie dalby rady - Ardzu zwrocil sie po cichu do Agniego:

-Masz u mnie... Ue, co za syf... Masz u mnie plusa za orientacje.

-A trzy plusy to wpierdol - dodal Bima.

-Zamknij sie. Waruna mowil nam, kche, kche... Ze zajmowales sie zawsze praca biurowa. Nie myslalem, ze bedziesz mial taka szybka orientacje w tej chacie, z tymi gownami.

-Bo on pewnie gowna ksiegowal!

-Zamknij sie, Bima, kche, kche... Chodziles kiedyś w terenie?

-Bylem przez sto lat... ech... najemnikiem, jak kazdy.

-Jak kazdy za dawnych czasow.

-Dawnych? A ile to lat sobie liczycie?

-Cztery... i pol tysiaca - wykaszlal Yudi.

-Trzy tysiace... I siedem miesiecy - wydusil z siebie Ardzu.

-Trzy i pol... tysiaca - Bima otarl oczy, zalzawione nie wiadomo czy od rehotu, czy od smrodu.

-Trzy tysiace piec! - kichneli rownoczesnie Naku i Saha.

-No tak. Ja mam jakies czterdziesti tysiacy - powiedzial Agni.

-Czy radujesz sie, moj Ziofilattu? Czy rozumiesz, jaka niewiarygodna laska spotkala ciebie, kazirodce i sedycjoniste, winnego zdrady niezadowolenia?

-Nie. Nie raduje sie, Pani... Panie.

-Dobrze, ze przynajmniej jestes szczery. Ale dlaczego sie nie radujesz? Czyzbyś nie chcial zyc wiecznie?

-Bardzo bym chcial. Ale...

-Ale co?

-Ale jezeli bede musial wiecznie umierac, to znaczy, ze nigdy, przez cala wiecznosc, nie bede niesmiertelny.

-Wiesz, ze bezsensowne wypowiedzi tez sa karane?

-To jest wlasnie bardzo sensowna wypowiedz. Niesmiertelny nie jest czlowiek, ktory nie umiera, tylko czlowiek, ktory nie umrze. Jezeli wiecznie trzeba bedzie mnie torturowac, zeby mnie uodpornic na smierc, to znaczy, ze nigdy nie uodpornie sie na smierc tak mocno, zeby juz nigdy nie umrzec. Nie bede niesmiertelny, tylko wiecznie smiertelny. I wiecznie bede umieral.

-A wiec wybierasz smierc?

-Tak.

-A wiec uwazasz, ze smierc jest lepsza dla czlowieka?

-Tak.

-A wiec smierc bedzie tym, co wlasnie w tej chwili spotka twoja coreczke.

-Panie!!!

-Witaj w Rombie, Ziofilattu Vortici.

-No wiec stanales przed obliczem potwora, admirale Matsuhio.

-Panienka raczy zartowac.

-Jak ci sie podoba twoj odwieczny wrog?

-Po co takie brzydkie slowa? To radosc dla wojownika moc ogladac taka sliczna panne. Niczym jest cierpienie, gdy zostaje tak wynagrodzone.

-Czy myslisz, ze te komplementy ci pomoga?

-O, widze, ze panienka w skromnoscii wychowana. Dobrze to, dobrze, cieszy to serce starego wojownika.

-Matsuhio... Czy ty przypadkiem... Od tortur... Nie zwariowales?

-Wariuje tylko na widok panienki, od uroku panienki.

-Matsuhio... Posluchaj, chociaz jestes moim najgorszym wrogiem, chce ci dac niesmiertelnosc.

-Sliczne oczy fiolkowe, o, jak morze przed burza... Nie maja takich oczu nasze panny!

-Matsuhio...

-To wstyd, ze mi kosci nog przewiercili... Oj, porwalbym panne!...

-Matsuhio, sprobuj pomyslec o sobie i o swoim losie. Chce ci dac niesmiertelnosc.

-Jest tylko jeden rodzaj niesmiertelnosci, ktorego pragnie prawdziwy mezczyzna. To niesmiertelnosc w swoich potomkach. Panienka, jak rozumiem, chce mi dac potomstwo?

-Matsuhio, jezeli nie zamilknie, odesle cie do kaciska na kilkanascie lat. I dopiero po

kilkunastu latach wrócimy do tej rozmowy.

-Prawdziwy wojownik kaciska sie nie boi. Ale kilkunastoletnie rozstanie z panna byloby zbyt bolesne.

-To w takim razie mnie posлуchaj, prawdziwy wojowniku. Nie boisz sie smierci? Nie chcialbys zyc wiecznie?

-Och, panienska raczy poddawac probie starego wojownika... Wojownik nie boi sie smierci, on jej pragnie!

-Matsuhira, ja pytam powaznie.

-A ja powaznie odpowiadam! Dla prawdziwego wojownika nie ma powazniejszej sprawy, panienko, niz smierc! Wojownik jest po to, zeby umrzec i zeby umrzec we wlasciwy sposob!

-Nie ma wlasciwej smierci. Smierc jest zawsze straszna.

-Nie, jesli jej sie nie boisz. Ale do tego nie mozna byc lekliwa panienska!

-A ja ci powiem, nieustraszony wojowniku, ze w ostatniej sekundzie, w ostatnim ulamku sekundy na granicy smierci kazdy sie boi. Nawet ty, nieustraszony wojowniku. Czy chcesz sie przekonac?

-Ulamek sekundy to tylko ulamek sekundy, nawet na granicy smierci! Czlowiek nie bedzie mial czasu, zeby zaczac sie bac! I dlaczego mialby bac sie ulamka sekundy wojownik, ktory nie bal sie calego zycia? Przyjmuje wyzwanie, panienska.

-Dobrze. Ale gwarantuje ci, ze bedziesz mial czas, zeby zaczac sie bac. Twój ostatni ulamek sekundy na granicy smierci... Bedzie trwal cala wiecznosc.

-Panienska!

-Witaj w Rombie, admirale Matsuhira.

-No tak. Ja mam jakies czterdziestci tysiecy lat - powiedzial Agni.

-I starczy - zawolal jakis wesoly glos.

Krasnoludy rzucily sie na ziemie. Agni zmacal topor.

-Wylazic, karly, z tego smierdzacego zielska - wolal wesoly glos. - Bez broni, z rekami do gory. Cale zarosla tak smierdza, bo oblalem je olejem skalnym. Jeden ruch i moj kolega rzuci kilka pochodni.

-Kurwa - powiedzial Ardzu.



-Wylazic po kolei, zebym mial czas kazdego zwiazac i brodzisko wyrwac. Ktory pierwszy? Reszta bez ruchu ma siedziec i czekac, az zawolam drugiego. Bo jak nie, na przypalonym miesku bede dzis ucztowal. Krasnoludzina smaczna, ostra w smaku...

-W gardle ci stanie! - zawolal Yudi slabym glosem.

-Cicho! - krzyknal wesolek. - No, niech wylazi pierwsza broda! Za brode mi placa!

-To zawodowiec - szepnal Ardzu.

-Albo chce, zebysmy tak mysleli - odpowiedzial Agni.

-Wylazic - wolal zawodowiec. - Bo podsmaze was w tych krzakach! Glodny jestem! Wylazic! A reszta siedziec grzecznie w krzakach i sluchac spokojnie, jak kamrat wrzeszczy! Bo bedzie wrzeszczal!

-Ja pojde - syknal Ardzu. - Mam najwiekszy staz jako wojownik. Moze poradze sobie z nimi golymi rekami.

-Nie - odszepnal szybko Agni. - To walka wrecz! Niewazne, kto najlepiej toporem macha, tylko kto jest najsilniejszy! No, ktory z was?

-Niby Bima - mruknal niechetnie Yudi. - Ale niech on nie...

-Swietnie - powiedzial Agni. - Bawil nas dowcipami, niech teraz inaczej nas rozweseli. Idz, Bima.

-Chuj ci w dupe - powiedzial czarny krasnolud i wstal.

-Ide! - zawolal. - Ide, chuju zlamanym!

-Bez wyzwisk - odpowiedzial glos - bo bede wyrrywal klak po klaku! No prosze, czarne futerko nam sie dzisiaj trafilo... Zrzuc kurtke! Obroc sie! Chce widziec, czy nie masz gdzieś topora, brodaty zwierzaku. Sciagaj buty! Rzuc no je tu! Dobre buty, tylko brudne. Rece do przodu, do zwiazania! Podejdz... Nie probuj sztuczek! Ach... Masz, gowno! Myslales, ze mi podskoczysz! Lezec, scierwo! Caluj buty pana! Na plecy! Teraz ty go przytrzymaj...

I nagle rozlegl sie wrzask, wrzask potworny, przechodzacy w wysoki, jakby niemowlecy skrzek. Niemowlecy, ale na pewno wychodzacy z gardla Bimy. Wszystkie krasnoludy oprócz Agniego skulily sie. A potem na Agniego spojrzaly, rowniez wszystkie.

Agni odwrocil wzrok i zamknal oczy. Wrzask narastal, byl coraz glosniejszy, coraz jakby blizszy i skonczyl sie nagle choralnym wybuchem smiechu. Na polanie stanal Bima, trzymajac w reku dwie wasate glowy.

-Ale cie nastraszyłem, chujku - powiedzial do Agniego, rzucajac mu scierwo pod nogi.

-Masz u mnie drugiego plusa - westchnal Ardzu. - Bo jednak miales racje. Trzeba bylo wyslac Bime. Masz u mnie drugiego plusa.

-A trzy plusy to wpierdol - dodal Bima.

-Czy radujesz sie, kapitanie Ritavartin?

-I juz nie bydzie bumbona, bo sy udusi i skona.

-Czy radujesz sie z niesmiertelnosci, ktora cie obdarze?

-I juz nie bydzie bumbona, bo sy udusi i skona.

-Czy rozumiesz, co do ciebie mowie?

-I juz nie bydzie bumbona, bo sy udusi i skona.

-Czy chcesz, abym uodpornil na smierc twojego bumbona?

-I juz nie bydzie bumbona, bo sy udusi i skona.

-Czy rozumiesz, na czym polega uodpornienie na smierc?

-I juz nie bydzie bumbona, bo sy udusi i skona.

-Widze, ze jesli nie wiesz, to przynajmniej sie domyslasz.

-I juz nie bydzie bumbona, bo sy udusi i skona.

-Czy wiesz, ze twoje odpowiedzi moga miec wplyw na twoj los?

-I juz nie bydzie bumbona, bo sy udusi i skona.

-A jesli nawet nie na twoj los, to na pewno na los twojego bumbona.

-I juz nie by... Panoczku, nie!

-Tak, Ritavartin. Udusimy twojego bumbona.

-Panoczku, blagam, nie! Ja po katuszach, ja pomieszany, ja mogl co durnego plesc, ale bumbon niewinny, dziecina najslodsza...

-I to ty sam go udusisz.

-Nie, panoczku, nigdy!

-Ty sam. Wbijemy ci w miesnie i w kosci takie druty, ktore beda kierowac twoimi ruchami.

Bedziesz dusil bumbona, a druty wbite w szczeki i krtan sprawia, ze bedziesz spiewal: "Hurra, jak slodko jest poswiecac najblizszych dla Cesarza". I juz nie bydzie bumbona, bo sy udusi i skona.

-Panoczku!!!

-Witaj w Rombie, Ritavartin.

-Witaj w Rombie, Viranie Watanabe. A zreszta... Nie powinienem cie tu witac. Przeciez tu jestes juz od wielu, wielu lat.

-Tak, Panie...

-Nie pierwszy raz widzisz te wszystkie narzedzia. Te lancuchy. I to loze. Tyle ze po raz pierwszy to ty na nim lezysz.

-Panie...

-Cos chcesz powiedziec, Watanabe? Chcesz blagac o litosc? Przeciez wiesz, ze dla siebie nie mialem litosci. Kto jak kto, ale ty o tym dobrze wiesz.

-Tak, Panie.

-Swoja droga szkoda, bo gdzie ja znajde drugiego takiego kata jak ty?

-Dziekuje, Panie. Pozytywna ocena mojego profesjonalizmu sprawia, ze niczym sa meczarnie, ktore mnie czekaja!

-Akurat, Watanabe. Nie klam. Meczarnie, ktore cie czekaja, sa takie, ze nic nie moze chocby minimalnie ich zlagodzic.

-Panie, prosze o wybaczenie!

-Zwariowales, Watanabe?

-Nie... Chcialem tylko poprosic o wybaczenie za to, ze pomyslalem, iz zadawane z polecenia Olsniewajacego Majestatu meczarnie moglyby nie byc absolutne.

-Kto jak kto, ale ty dobrze o tym wiesz... I wiesz, ze ja o tym wiem. Moge ci powiedziec, ze byles bardzo dobry w zadawaniu absolutnych meczarni.

-Prosze o wybaczenie! Ja... Ja przeciez nie wiedzialem wtedy, ze to Wasza Wysokosc...

-A wiec sugerujesz, ze gdybys wiedzial, ze to ja, to wtedy zlekcewazylbys Wspanialy Cesarski Rozkaz zadawania mi absolutnych meczarni?

-Ja... Proszę o wybaczenie!

-Podczas tej rozmowy popełniłeś trzy niewybaczalne błędy. A właściwie sześć, bo za każdy z tych trzech dodatkowo poprosiłeś o wybaczenie. A to znaczy, że sądzisz, iż Nieskończony Sprawiedliwy Cesarz mógłby coś przebaczyć. Ponieważ, jak twierdzisz, jesteś profesjonalista, sam wyobraź sobie skalę bólu, który cię czeka.

-Panie...

-Czy naprawdę myślałeś, że będziesz mógł zadawać absolutne meczarnie, samemu nie będąc im poddanym?

-Panie... Ja wykonywałem rozkazy Twoje!

-I gdybyś ich nie wykonał, zostałbyś skazany na absolutne meczarnie za nieposłuszeństwo wobec rozkazów Nieskończonej Słuszności. Nieskończona Słuszność wymaga zadawania bólu. Ale nieskończenie słuszne jest także, aby ten, kto zadaje nawet słuszny ból, też go zaznał. Bo jest słuszne braterstwo, nawet braterstwo ze skazancami. Widzisz, co mam w ręku? Wiesz dobrze, co to jest. To specjalny przyrząd do operacji, którą nazwałem antymasazem. Dzięki temu wszystkie twoje mięśnie osiągną maksimum napięcia. Dzięki temu twoje własne mięśnie zaczną miażdżyć twoje własne narządy wewnętrzne, a nawet kości. Dzięki temu każdy dodatkowy ból, który ci sprawimy, będziesz odczuwał wielokrotnie mocniej. Nawet jeśli jako ból dodatkowy sprawimy ci ból nieskończony.

-Panie!!!

-Witaj w domu, Watanabe.

-Mamo!!! Maaamo!!! Maa... mo...

-Słucham synku, córeczko.

-Dlaczego... Dlaczego mi to robisz?

-Musisz poznać ból. Ten sam, który czują ludzie. Jesteś za niego współodpowiedzialna.

-Ale przecież... Ja... Ja ich nie stworzyłam!

-Aha, że to niby tylko ja jestem odpowiedzialny? O nie, kochanie. Chciałabyś żyć bez bólu, kiedy inni cierpią? Naucz się, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za wszystkich. I gdy choć jeden cierpi, cała reszta powinna skrecać się z bólu. O tak.

-Aaa!!! Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!

-Dobrze. Teraz odpocznij trochę, synku córeczko, bo jeszcze mi zemdlejesz, a za to musiałabym cię dodatkowo ukarać.

-Dlaczego...

-Omdlenie to sposob, w jaki organizm probuje uniknac bolu. Proba unikniecia bolu to proba unikniecia odpowiedzialnosci.

-Mamo... Ty jestes Cesarzem...

-Tak, synku coreczko.

-To dlaczego wysylalas mnie po Obraz? Moglas tam wyslac zolnierzy...

-Chodzilo o to, zebys przeszedl swoja wlasna droge do Obrazu - i do Rombu. Droge, na ktorej bedziesz cierpiec, na ktorej zrozumiesz ludzki i elfi los.

-Ale dlaczego... Na tej drodze... Kazalas mi zabijac...

-Kazdy z nas jest odpowiedzialny za smierc innych ludzi. Ci, ktorzy nie zabijaja, tez zabijaja, tyle ze biernie. Po prostu nie pomagaja innym ludziom zagrozonym smiercia. Nie powstrzymuja sztyletu mordercy, nie poszukuja eliksiru niesmiertelnosci. Lepiej juz zabijac aktywnie.

-Nieprawda! Ja zabilam, zabilam te kobiety, tam, na Polnocy! To ja spowodowalam ich smierc! Nie ktos inny, kto o tym nie wiedzial! Ja zabilam!

-Czy myslisz, ze mogles sie przed tym powstrzymac?

-Ty mi kazalas!

-A ty usluchales.

-I zle zrobilam!

-I zle zrobiles. Mozna powiedziec, ze nie przeszedles proby litosci. Ale nie mogles jej przejsc. I to jest sluszne, ze jej nie przeszedles. Jestes elfem. Trzeba, zebys wzial na siebie nie tylko bol ludzi, ale takze wine elfow. To my ponosimy wine za stworzenie ludzi, za powolanie do zycia smiertelnikow. To my najbardziej odpowiedzialni jestesmy za te wszystkie smierci. Dlatego gdyby te kobiety nawet umarly ze starosci, ty i tak bys je zabil. Dlatego lepiej, abys to zrobil wlasna reka, przyznajac sie do winy i czujac ja... Niz tylko obojetnie zamykajac oczy na ich tak zwana naturalna smierc.

-Tak... Ale naturalna smierc... Bylaby troche pozniej... Pozilyby troche dluzej...

-Co to znaczy troche dluzej? Rok? Dziesiec lat? Czy nawet tysiac lat? To wszystko jest nic wobec tego, ze i tak trzeba umrzec. Ludziom trzeba dac niesmiertelnosc, a nie przedluzac im zycie o trozke. Ludziom trzeba dac niesmiertelnosc.

-I w tym celu trzeba ich zabijac?

-Tak! Tak to jest, ze dawanie niesmiertelnosci wymaga tez zabijania. Bo niektorzy ludzie sa nieposluszni i nie rozumieja sensu calej operacji. Sabotuja ja. Chca, zeby sie nie udala. No wiec, daje im to, czego chca. Bo gdyby operacja sie nie udala, tez by umarli. Tyle ze razem ze soba pociagneliby w przepasc tych, ktorzy sa posluszni. Skoro wiec nie moge uodpornic na smierc wszystkich, robie to przynajmniej z tymi poslusznyimi. I chronie ich, zabijajac nieposlusznych. Poza tym, od czasu do czasu trzeba kogos nieposlusznego zabic po to, zeby inni poczuli te wielka radosc, ze to nie ich zabito. Zycie czlowieka ma wypelniac maksymalna radosc i maksymalny bol.

-A co bedzie, jezeli operacja rzeczywiscie sie nie uda? Jezeli cos sie stanie, Romb sie zawali i wszyscy zginiemy? I ty tez? Cos takiego zawsze moze sie zdarzyc, za rok, za milion lat, nie wiem... I wtedy meczarnie tych wszystkich ludzi w Rombie beda na nic. Okaze sie, ze straszliwie cierpieli przez milion lat albo przez rok, a nawet niesmiertelnosci przez to nie uzyskali!

-Nie rozumiem, jak mogliscie dac sie nabrac - powiedzial Bima. - Przeciez nie mogli mi wyrwac brody, mam sztuczna jak wszyscy.

-Ty glupi chuju. Ze zlosci, ze masz sztuczna, mogli ci zrobic wiele innych rzeczy - mruknal Yudi. - Myslelismy, ze juz po tobie.

-Wszyscy jestesmy glupie chuje - oznajmil Agni. - Brody do plecakow. Trzeba je bylo zdjac przed wyjsciem z tej studni.

-Tobie odrasta prawdziwa - zauwazyl Ardzu.

-Bo nigdy mi nie zdzierali, sam zgolilem. Wlasnie, musze skombinowac jakas brzytwe. Trzeba tez zrobic wkladki do butow i zdobyc jakies mundury.

-Wkladki to zaden problem - powiedzial Naku.

-Znajde jakies drewno i wystrugam - dodal Saha. - Nawet z galezi.

-To szybko.

-Nie bedziemy dziwnie wygladac w mundurach? - zapytal Yudi.

-On na pewno - powiedzial Agni wskazujac na Bime. - Nie ma czarnych ludzi.

-Sa - odpowiedzial Yudi. - Na najdalej polozonym cyplu Polwyspu Poludniowego zyje jedna wioseczka czarnych ludzi. Nie wiadomo, skad sie wzieli. Niektorzy mowia, ze to byli pierwotni mieszkancy Polwyspu. Inni, ze przybyli zza morza... Ci inni oczywiscie juz nie zyja.

-Nigdy o tym nie slyszalem - zmruzył oczy Agni.

-Bo to nieprawda - powiedzial Yudi. - Ale tak bedziemy mowic tym, ktorzy zaczną nas wypytywac.

-O nie, panowie - sprzeciwil sie Agni. - Nie mozemy dopuscic do tego, zeby ktos nas wypytywal. Zaden z nas nie chce byc wypytywany, prawda? Nikomu nawet nie moze przyjsc do glowy, zeby nas wypytywac.

-To bedzie trudne - usmiechnal sie kwasno Ardzu.

-Dlatego musimy zdobyc mundury, najlepiej sluzby kwatermistrzowskiej, i przejac jakis transport. Bime schowamy do jakiejs skrzyni czy czegos takiego...

-Juz ja ci sie schowam - syknal Bima.

-Bedziesz wychodzil tylko noca - odpowiedzial Agni. - Bo wtedy masz najlepsze warunki do dzialania. Bedziesz nasza tajna bronia. Bedziesz tajnie uderzal w ciemnosci...

-Ja cie zaraz jawnie uderze w jasnosci.

-Zamknij sie, Bima - powiedzial Ardzu. - On ma racje. W koncu Agni ma czterdzieci tysiecy lat.

Krasnoludy weszly w las bladolistu. Ogarnela ich cala gama plamiastych swiatlocieni. Slonce przeswiecalo przez przezroczyte prawie liscie. Jakis ptak robil "Eee... Eee...", jak gdyby bardzo byl zniechecony. Po zwieszajacych sie az do ziemi galeziach ogromnego bialolistu biegaly male opancerzone stworzenia z duzymi szczypcami.

-Uwaga na skorpiony - ostrzegł Yudi.

-Czekaj! - krzyknal nagle Bima. - To nie skorpiony! To mozna jesc!

-No, teraz to przesadziles - stwierdzili Naku i Saha.

-Nie zartuje! Znam je. Sa w moich stronach.

-On ma racje - powiedzial Agni. - Widzialem kiedys cos podobnego. Te drzewa czesto rosna przy rzekach albo na zrodlach i sa w srodku puste. Woda bije wtedy wewnatrz, w gore drzewa, jakby ja cos tam wsysalo. Czasem wystarczy przebic kore, zeby na zewnatrz wyplynela rybka. A w dziuplach zyja drzewne raki.

-I to sa te drzewne raki? A jak smakuja?

-Jak cos pomiedzy rakiem a orzechem.

-No to lapac je, lapac...

Raki jednak złapac się nie dawały. Gdy tylko Bima zbliżył się do nich, natychmiast pomknęły w górę po korze olbrzymiego drzewa.

-I widzisz, glupku - powiedział Ardzu. - Wystraszyłeś je. Zobaczyły, że to ty, i uciekły. Załóż się, że gdybym ja tam podszedł, toby nie uciekały.

-Ha, ha, ha - skomentował Bima.

-Trzeba wspiąć się na drzewo i wybrać je z dziupli - powiedział Agni. - Który tu jest najbliższy?

-Tu same krasnoludy - przypomniał Yudi.

-Tak, ale ty jesteś kochany, chudziutki. I to nie tylko jak na krasnoluda - zauważył Saha, patrzeć na Yudiego.

-O nie. Ja po drzewach nie lazę - oświadczył Yudi. - A już na pewno nie po takich, których nie znam.

-Właz, właz - ponaglił Ardzu.

-Musimy oszczędzać na zapasach - dodał Agni. - Zawsze jak znajdziemy coś do jedzenia, nie możemy tego nie zjeść.

-Pewnie. Jesteśmy krasnoludami.

-Właz, właz.

-No dobra.

Yudi z bardzo nieszczęśliwym wyrazem twarzy zbliżył się do drzewa. Powolutku zaczął wchodzić na gałęzie. Całe drzewo zatrzęsło się, zachrobotało, a na ziemi spadł deszcz czegoś, co wyglądało jak malinki. Kiedy Naku, zaciekawiony, a może nawet kierujący się krasnoludzkim nakazem zjedzenia wszystkiego, zbliżył się do jednej z czerwonych malinek, ta nagle wydała z siebie straszliwy jakby ludzki wrzask i pomknęła w gąszcz traw obok ścieżki. Inne malinki podążyły za nią.

-Kurwa, co to było?! - zawołał Yudi ze swojej gałęzi.

-Nie chcesz wiedzieć - odpowiedział Bima. - Jesteś przy dziupli?

-Tak... - wystekal Yudi. - Tak... Już zaglądam... O!

Cos lupnelo i plusnelo.



-Co z toba, Yudi? Gdzie jesteś!?

-Tu! - odezwał się niespodziewanie blisko stłumiony głos Yudiego.

-Gdzie?

-Obok was, tylko w drzewie. Wpadłem do środka.

-Nie utopiłeś się?

-Nie. To drzewo chyba trochę wyschło. Woda jest tylko na dnie.

-To wylaz!

-Nie mogę. Za wysoko.

-Co?

-Pomóżcie mi! Rzucicie linę albo coś...

-Kurwa - powiedział Bima i zaczął wdrapywać się drzewo.

-Co robisz?

-Dajcie mi linę. Rzucę mu. Dzięki. Widzisz linę, Yudi?

-Widzę. Nie pochylaj się tylko!

-Spuszczam ci ją! Sie...

Rozległ się kolejny łomot i Bima zniknął w dziupli.

-A mówiłem, nie pochylaj się.

-Niezły kawał - rechotał Bima.

-Jak dla kogo. Jakbym ja ci tak spadł na łeb.

-Kurwa, chłopaki - krzyknął Ardzu. - Bez jaj, dobra? Nie jesteśmy na wycieczce krajoznawczej. Musimy się dostać na równiny przed wieczorem. Wylazcie!

-Dobra, dobra - powiedział Bima. - Tylko podaj drugą linę, bo ta spadła razem z nami.

Klnąc i spluwając, Ardzu wspinał się na górę. Drzewo trzeszczało, gięło się, jak gdyby miało się zaraz przewrócić.

-Widzisz mnie? - zapytał Ardzu.

-Widze.

-To masz. Trzymaj line. Leziesz?

-Leze, leze... Podaj mi reke.

-Masz... Puszczaaaaj!!!

Lomot. Nogi Ardzu zniknely w dziupli, podazajac za cala reszta jestestwa.

-Ha, ha, ha, ha!!! - Mimo ze z wnetrza drzewa, rechot Bimy bylo slychac zupełnie wyraźnie.

-Tu glupi chuju! - Odglosy bojki tez byly wyraźne.

-Dosyc! - krzyknal Agni. - Koniec zabawy! Wszyscy wylazicie z drzewa!

-Latwo powiedziec! - zawolal Yudi.

-Dobra - oswiadczył Agni. - Wlazimy wszyscy na gore. Naku i Saha, trzymacie line i dodatkowo przywiazujecie ja do galezi. Ja siedze na krawedzi dziupli i kontroluje sytuacje. Bima wychodzi jako ostatni. I staje na dole. Yudi i Ardzu wlaza mu najpierw na ramiona, tak, zeby ulatwic sobie wspinaczke. I zeby utrudnic mu zycie, za kare.

-Ty chuju zlamany - zahuczal Bima.

-Sam zaraz bedziesz zlamany, jak na ciebie wleze - odezwal sie Ardzu.

-Akurat. Wejdzcie na mnie obaj naraz - powiedzial Bima. - Jestem najsilniejszym krasnoludem w calym tak zwanym Cesarstwie.

Agni powoli wspinal sie po galeziach. Bladolist wydawal z siebie przyjemny, miodowy zapach. Dziupla zaczynala sie gdzies na wysokosci szesciu lokci nad ziemia. Miala ksztalt ogromnego serca co najmniej czterolokciowej wysokosci. Pien drzewa z bliska wygladal na jeszcze wiekszy. To bylo drzewo gigant. Agni zajrzal do srodka dziupli. Za nim, na grubym konarze, siedzieli okrakiem Naku i Saha.

-Dobra - powiedzial - przywiazcie mnie lina i trzymajcie ja mocno, nie puszczajcie, chocby nie wiem co sie dzialo. Ja rzucam im druga line... Hej, a wy tam na dole, wezcie te liny, ktore pospadaly, nie zostawiajmy ich... Wlazicie?

-Wlazimy! - steknal Ardzu.

-Daj reke!

Ku zdumieniu Agniego, z dziupli wynurzyly sie dwie rece. Jedna nalezala do Yudiego, a

druga do Ardzu.

-I... co... - stekal Bima. - Mowilem... ze utrzymam was obu...

Obie rece kurczowo zlapaly Agniego za ramiona.

-Hop! - zawolal nagle Bima.

Potezny ciezar pociagnal Agniego w jakas sprochniala ciemnosc. Z lomotem wyladowal w kaluzy. Po chwili spadlo na niego cos twardego i ciezkiego.

-Pizdziec! - zawylo to cos. To byl Naku oraz trzonek jego topora. Obok zlecialo cos, co moglo byc tylko Saha.

-Przeciez powiedziales nam, zeby nie puszczac liny, chocby nie wiem co... - usprawiedliwilo sie w ciemnosci.

-Ale mieliscie przywiazac ja do tej sterczacej galezi!

-Galaz puscila.

-I nic dziwnego, grubasy - rechotal Bima.

-Zamknij sie, chuju - grobowym glosem nakazal Ardzu. - Wiedzialem, ze ten chuj odskoczy, jak na niego wlazilem. Ludzilem sie, ze nie, ale... Ja go zajebie.

-Ja tez - powiedzial Agni. - Ale najpierw musimy sie stad wydostac.

-Frajerzy - zaczal Bima. - Przeciez to proste jak chuj. Musimy sie wyrabac na zewnatrz. To jest bardzo proste. Nie wpadlo wam to do glowy od razu? Wyrabie was w piec minut. Posuncie sie tylko, zebym ktorego nie trafil.

W ciemnosci zamigotalo ostrze bojowego topora.

-Stepi sie - mruknal Ardzu.

-To potem sie naostrzy - odpowiedzial Bima i zaczal walic.

Halas byl potworny. Wydrazony ogromny pien mial niezla akustyke. Ale jakby tego brakowalo, Bima zagrzewal sie do pracy, powtarzajac: "Jebut, jebut". Juz po kilku uderzeniach ostrze jego topora zaczelo przerabywac sie na zewnatrz.

-Jebut, jebut. Jebut, jebut. Jebut, jebut.

-Tatusiu, a co to! - przez halas przedarl sie nagle glos dziecka.

-O kurwa - powiedział Ardzu.

-Ktos wpadl do dziupli - odpowiedzial powazny, ewidentnie ludzki glos.

-I co teraz, tatusiu?

-On probuje sie wyrabac. Ale my mu nie damy.

-A jak to nie damy?

-Normalnie, zaraz drzewko podpalimy.

-Hi, hi.

-On sie upiecze w srodku, a my bedziemy miec specjalny obiadek. Jesli sie nie zwegli. A jak sie zwegli, no to przynajmniej bedzie przyjemnie posluchac, jak krzyczy.

Krasnoludy zamarly. W ciszy rozlegal sie metaliczny ni to stuk, ni to chrobot. Ktos krzesal ogien.

Bima zaczel pracowac ze zdwojona sila. Inne krasnoludy tez dobyly toporow i z rykiem rzucily sie na sciany swego drewnianego wiezienia.

-O, juz krzycza - zauwazyl chlopczyk.

-Wiem. I wala w drzewo od srodka. Dlatego musimy sie pospieszyc. Podlejemy drzewko olejem skalnym.

Zapach dymu byl juz wyczuwalny wewnatrz drzewa. Krasnoludy zaczely kaszlec.

-Jebut, jebut. Jebut, jebut. Jebut, jebut - powtarzal Bima, rabiac jak oszalaly. Wokol miotaly sie w panice drzewne raki.

-Tato, a co to?

-Drzewne raki. Chca uciec na zewnatrz, ale boja sie dymu. Na przemian wbiegaja do srodka i wybiegaja na zewnatrz ze strachu. Nic im nie pomoze. Uweda sie na galeziach i pospadaja.

-I tez je zjemy.

-Pewnie. Miesko z wedzonymi rakami drzewnymi na dodatek... Delicja.

-Jebut... Jebut... Jebut... Jebut...

-To tak strasznie booooo!!!

-Musi boleć.

-Mamusiu, proszę, nie, nie, tylko nie...

-Musi boleć.

-Dlaczego musi!!!?

-Poczekaj, zaraz ci powiem, tylko jeszcze może... wpuszcze ci mroweczek.

-Nie!!!

-Tak. Dobrze, teraz przez chwilę nie będzie boleć. Może być nawet przyjemnie. Ale potem to się dopiero zacznie. Albo nie, mam coś lepszego niż mroweczki. Widzisz?

-Nie chce!!!

-Wiem, że nie chcesz. Jeszcze tego by tylko brakowało, żebyś chciała. Masz nie chcieć. Ale masz tak się bać, żeby mówić, że chcesz i prosisz o jeszcze. Tak że nigdy więcej nie pozwalaj sobie na żadne "nie chce". Ma być tylko "tak, tak, jeszcze, jeszcze". Każde "nie" będzie wiązać się z kolejnym wzrostem bólu. A wierz mi, podczas Wspaniałej Cesarskiej Procedury Nieskonczonego Uodporniania przesuwa się nie tylko granica śmierci - co Ciebie nie interesuje, bo i tak jesteś nieśmiertelny, przechodzisz tę procedurę tylko po to, aby podzielić los ludzi - ale przesuwa się także granica bólu ostatecznego. Stajesz się zdolny do znoszenia coraz większego i większego bólu, który wcześniej był dla Ciebie niewyobrażalny.

-Mamo...

-Poczekaj, miałam ci odpowiedzieć na pytanie: "Dlaczego musi boleć?".

-Ale ja nie chce, żebyś mi odpowiadała. Ja chce, żeby nie boleć.

-Czyżby moje tłumaczenia ci nie wystarczały? Rzeczywiście, chyba nie wystarczają, skoro już tyle razy ci tłumaczyłem, a ty nadal pytasz: "Dlaczego musi boleć?". No dobrze, tym razem spróbuję ci wytłumaczyć wszystko od początku, dogłębnie. Tyle że w ten sposób zwiększy się twój poziom rozumienia sensu własnej meki, a co za tym idzie, będziesz zobowiązana do większej akceptacji tej meki... A więc, stosownie do zwiększonego poziomu twojej akceptacji, zwiększymy także i sam poziom tej meki.

-Nie!!!

-Słucham?

-Taaaak!!!... To... Znaczą... Tak...

-Jakie grzeczne dziecko. Jak rozumiem, ty chcesz, żeby nie boleć. Nie chcesz cierpieć i

uwazasz, ze w ogole nie powinno byc cierpienia. Jednym slowem, chcesz, zeby bylo dobrze. Otoz dobrze byc nie moze.

-Dlaczego?!!!

-Bo cos takiego jak "dobrze" jest niemozliwe. Pojecie "dobra" jest bez sensu. Czeka, rozluźnij ci te obrecze na skroniach, bo utrudniają dopływ krwi do mozgu, a wiec myslenie. Bo to, co ci powiem, bedzie dosyc skomplikowane, ale trudno, sama chcialas.

-Tak...

-Dobrze... No wiec tak. Dobro mialoby oznaczac taki stan, w ktorzym wszystkim jest dobrze i ten stan jest niezagrozony, bo nikt nikomu nie czyni krzywdy. Ale tak naprawde jest inaczej - prawdziwe dobro wymaga, zeby kazdy robil innemu dobrze. Tylko o istocie, ktory robi innym dobrze, mowi sie, ze to istota dobra, prawda? No wiec dobro to stan, w ktorzym wszyscy robia sobie dobrze. Dobro to stan powszechnego altruizmu. Stan, w ktorzym jedna istota - powiedzmy czlowiek - nie myśli o sobie, tylko o drugim czlowieku. Kazdy chce robic innym dobrze, ale sam dobra nie przyjmuje, tylko natychmiast je oddaje. Widzisz, ze to pojecie bezsensowne. Wszyscy wszystkim robia dobrze, ale nikt nie ma dobrze nawet przez chwile. A przeciez wtedy, kiedy jest dobrze, to powinno byc dobrze kazdej pojedynczej istocie, powiedzmy, kazdemu czlowiekowi... Wiec tu pojawia sie pytanie, czy dobro w ogole moze byc tym najlepszym, najwazniejszym pojeciem, czy mozna w ogole w nie wierzyc? Czy nie lepiej jest wierzyc w pojedyncza istote, powiedzmy czlowieka? Moze to pojedynczy czlowiek jest najwazniejszy niz ogolne dobro. Tyle ze wtedy kazdy zaczyna myslec o sobie i ludzie morduja sie jak zwierzeta. Spoleczenstwo, oparte na pojeciu czlowieka, byloby spoleczenstwem zwierzat i w koncu kult czlowieka przeobrazilby sie w kult bestii. Spoleczenstwo oparte na pojeciu dobra byloby z kolei spoleczenstwem roslin, w ktorzym zycie poszczegolnej osoby staje sie coraz bardziej ubozsze, ubozsze, pozbawione przezyc, sensu, dynamiki. To byloby spoleczenstwo, w ktorzym jednostka znaczy coraz mniej, a ogolna wymiana przysluga, mimo ze oficjalnie gloryfikowana, tez zamiera, bo traci sens. Co to za przysluga, z ktorej nie ma sie korzysci? Jedynym sposobem na to, aby istnialo wlasciwie funkcjonujace spoleczenstwo... a raczej jedyna, najwazniejsza wartoscia, na ktorej mogloby oprzec swoje istnienie spoleczenstwo, musialoby byc polaczenie tych dwoch wartosci: czlowieka i dobra. Trzeba by uwierzyc, ze jest jakis Czlowiek-Dobro, z ktorego wszystko sie wywodzi. Istota bedaca czymś takim jak czlowiek czy elf, czyli myslaca, czujaca, konkretna i pojedyncza, ale zarazem wszechobecna, istniejaca w innych istotach i pomiedzy nimi. I w calym tym dobru, ktore dzieje sie pomiedzy nimi. Tylko gdyby istnial Czlowiek-Dobro i gdyby wszyscy nim zyli, gdyby byl najwyzsza wartoscia... tylko wtedy mogloby byc dobrze. Ale Czlowieka-Dobro nie ma, jestem tylko ja.

"W twoim Cesarstwie ludzie sa bestiami i roslinami naraz" - te mysl na szczescie udalo sie powstrzymac, zanim sie pojawila. Zanim wyczula ja mama.

-Witaj w Rombie, synku coreczko.

-Jebut. Jebut. Jebut. Jebut.

-A teraz co sie dzieje, tatusiu?

-Oni jeszcze bardziej probuja wyrabac sie na zewnatrz. Ale drewno bialolistu twarde, mocne... Nie uda sie im.

-Hi, hi, tatusiu.

-Hi, hi, syneczku.

-Ale tatusiu, czy ogien nie oslabia drewienka?

-Jebuuut! - z dzikim rykiem Bima wyrabal sie na zewnatrz z plonacego drzewa poprzez wielka wyrwe. Krasnolud kaszlal i spluwal, i byl jeszcze czarniejszy niz zwykle. Pot na jego twarzy blyszczal tak bardzo, ze Bima sprawial wrazenie wyrzezbionego w lsniacym brazie.

-Jaki sliczny - zachwycil sie chlopczyk.

Ojciec, wasaty i zdumiony, stal przez chwile bez ruchu. Potem porwal synka na ramie i juz mial uciekac, kiedy Bima trafil go toporem w plecy. Na szarawym plotnie sukmany pojawila sie najpierw ciemna, a po chwili wyraznie czerwona plama. Mezczyzna upadl na ziemie razem z zywym synkiem. W sekunde pozniej czarny krasnolud byl juz przy dziecku.

Z wyrwy w plonacym drzewie wybiegaly nastepne krasnoludy, slaniajac sie i pokaslujac. Zataczaly sie, padaly na ziemie, ale biegly dalej, jak najdalej od ognia.

-Mam szczeniaka!!! - ryczal Bima.

Chlopek nie ryczal. Patrzyl na Bime szeroko otwartymi oczyma, jak czujny, przestraszony kot.

-Kurwa... - Agni dopelzil do Bimy i do kaluzy wody.

-Przezyles... Kurwa, przezyles cos takiego w ciagu czterdziestu tysiecy lat? - zapytal Yudi.

-Kurwa, nie - odpowiedzial Agni.

-Mam szczeniaka!!! - ryczal Bima.

-Trzeba... go... zabic - wydyszal Ardzu. - Wioska nie moze sie o nas dowiedziec.

-Tu na mapie nie ma zadnej wioski - powiedzial Agni. - To dzieciak lesniczego.

Istotnie, na ramionach sukmany naszyte byly hafty przedstawiajace szubienice, godlo

Wspaniałych Cesarskich Służb Lesnych.

-No i co z tego!!! - ryknął Bima. - I tak go zabijemy.

-Dlaczego? - zapytał Agni.

-A dlaczego oni chcieli zabić nas?! - zapytał czarny krasnolud.

-Wiesz... - zaczął Saha. - Sam nam mówiłeś, że mamy oszczędzać zapasy. Za każdym razem, gdy znajdziemy coś jadalnego, mamy to zjeść.

Chłopiec chyba dopiero po tych słowach zrozumiał, co go czeka, bo jego twarzyczka skurczyła się, a po twarzy popłynęły wielkie brudne łzy.

-Nie płacz - uśmiechnął się nagle Bima. - No, nie płacz. To były żarty. Pojdiesz z nami, krasnoludami, na wędrowkę. Zostaniesz dzieckiem pulku. No, nie płacz, do cholery!

I udusił.

-Mamo...

-Słucham cię, synku coreczko.

-A Śnieżna Równina? Czy Śnieżna Równina istnieje?

-Tylko w formie przerażającej tortury dla wszystkich tych nieszczęsników, którzy kiedykolwiek tam się wybrali.

-Jak to?

-Nie ma takiego ładu. Nie ma w ogóle żadnych ładów, poza Cesarstwem. Ale daleko na Północy morze zamraża i twardnieje w lodowiec. Twój ojciec zawiózł tam i wysadził na lod wiele biednych elfów, które w daremnym poszukiwaniu oazy ciepłodrzewów zamarły na śmierć.

-Oszukał go?

-Nie. On oszukał ich. Był moim wiernym mezem, a kiedy zrozumiał, kim jestem, stał się moim wiernym uczniem. On też wierzył, że elfy, które doprowadziły do stworzenia ludzi, są odpowiedzialne za ich los. I tak samo jak ludzie, muszą zaznać po kolei ostatecznej meki, ostatecznej rozpaczki i wreszcie śmierci. Pomagał mi w tym, dopóki go nie skazałam na śmierć.

-Dlaczego to zrobiłaś?

-Bo on też był elfem.



-Ale przeciez... Jak mowilas do mnie w mysli ze Snieznej Rowniny... slyszalem rowniez mysli innych elfow... ktore byly tam z toba... A wlasciwie jednego elfa...

-To byl moj glos. Mowilem ci, ze moje mysli jako mezczyzny brzamia zupełnie inaczej niz moje mysli jako kobiety. No dobrze, wracajmy do spraw waznych. Trzeba popracowac nad sciegnem twojej lewej nogi.

-Taaaak!!!

-Wiecie co... To drzewo juz przygaslo, ale caly czas fajnie dymi. Moze powiesmy tam czlowieka i szczeniaka, to sie uwedza do jutra i zwikszemy nasze zapasy.

-Jak ich chcesz wlec?

-Normalnie, zestruga sie mieso z kosci i dobrze zasoli po uwedzeniu...

-Albo przed.

-Przed uwedzeniem to ich trzeba wypatroszyc.

-Co za problem - powiedzial Naku. - Ja sie tym zajme.

-Naku, zlota raczka.

-Kazdy krasnolud to zlota raczka.

Naku rozebral trupa mezczyzny i zaciagnal do spowitego dymem drzewa. Zarzucil petle na szyje, przerzucil line przez galaz, podciagnal zwloki na odpowiednia wysokosc, przywiazal koniec sznura do jednej z dolnych galezi. Nastepnie wyjal noz i wprawnym ruchem przecial brzuch wzdluz. Ze srodka wysypalo sie cos, co wygladalo jak niekonczacy sie ciag kielbasek albo bardzo dluga zmija.

-Oto z czego chuje sa zrobieni - zauwazyl Bima.

Naku wsadzil obie rece do brzucha, pogmeral nozem, oderznal jelita i cisnal je w dymiacy popiol.

-Znac reke mistrza - powiedzial Saha. - Jelita podpieka sie w zarze i dymek bedzie aromatyczniejszy, miesko sie lepiej uwedzi.

-No, ja nie wiem z tym aromatem - stwierdzil Bima. - Jelita przeciez sa pelne gowna.

-Wlasnie o to chodzi. Podsmazone gowno daje specyficzny aromacik przy wedzeniu, ceniony przez prawdziwych koneserow.

-Tu nie bedzie gowna - cmoknal Ardzu. - Nie u tych chudzielcow. Ostatni raz pewnie cos

jedli przed tygodniem.

-Tak. Gdybysmy my nie zjedli taty, to pewnie niedlugo tata zjadlby synka.

-Bedzie gówno, bedzie - uspokajal Saha. - Jak czlowiek gloduje, to nie sra, bo nie wchodzi mu w trzewia nowe porcje pokarmu i gówna nie popychaja. Gówno zostaje w czlowieku, tyle ze gnije. I z takiego zgnilego gówna jest najlepszy aromacik do wedzenia.

Naku rozebral, powiesil i wypatroszyl syna obok ojca. Bujajac martwego chlopca, musial cos uruchomic w jego organizmie, bo ze sztywnego, sterczacego siusiaka dziecka mocz trysnal w popiol. Buchnela w gore goraca para wodna.

-Fuj - powiedzial Bima. - Nie chce mieska uwedzonego w szczynach.

-Nie marudz - powiedzial Saha. - To jak polewanie zaru piwem, gdy pieczesz cos na weglu. To tez dodaje smaku.

-No dobrze. Widzisz te dziewczynke, synku coreczko?

-Taaaak!!!

-To coreczka naszego wspolnego przyjaciela, niejakiego Ziofilattu Vortici. Na jej przykladzie udalo mi sie udowodnic, ze jednak wieczne meczarnie sa lepsze od smierci. Widzisz ten szpikulec przytkniety do jej... do jej pupci?

-Taaaak!!!

-Nie boj sie tak... Nic z tych rzeczy, o ktorych myslisz. Panienska pozostanie dziewica. Mozna nawet powiedziec, osoba z zasadami, bo bedzie miala naprawde twardy kregoslup. Kiedy zwolniona zostanie sprezyna tego oto mechanizmu, ten cieniutki i bardzo dlugi szpikulec wbije sie w sam szpic jej kosci ogonowej. A nastepnie bedzie powoli, ale nieustepliwie zaglebiac sie w kregoslupie, wbijajac sie w jego rdzen, az dojdzie do czaszki. Jezeli ona to przezyje, bedzie mozna uznac, ze zaczyna sie calkiem porzadnie uodporniac na smierc. Chociaz oczywiscie jest bardzo mozliwe, ze nie przezyje. Jej tatus-dziadzius myśli, ze ona juz nie zyje, dalem mu takie cierpienie psychiczne w ramach uodporniania na wstrzasy, ale gdyby teraz umarla, powiedzialbym mu, ze dopiero teraz to sie stalo. Tak, zeby przezyl ten wstrzas dwa razy... Jak myslisz, wlacze mechanizm szpikulcowy czy nie wlacze?

-Blagam...

-Nie wlacze.

-Jestes wielka!... Wielki!

-Ty go włączysz.

-Nieeee!!!

-Co prosze?

-Tak!!! To znaczy nie! Nie moge powiedziec "tak"!!! Nie moge!!! Nie, nie, nie!!! Nie moge...

-A jednak mozesz. Mozesz nie tylko powiedziec, ale i zrobic. Bo sprezyna przymocowana jest do twojej stopy... Tak, to ten drut, ktory wbija ci sie w podeszwe... Wystarczy, ze zaczniesz nakluwac palce twojej stopy za pomoca tych oto rozszarpanych igielek, a w koncu nie wytrzymasz bolu. Cofniesz noge i tym samym skazesz te oto dziewczynke na przerazajaca torture, z mozliwoscia smierci. I bedziesz czul sie winny, ze nie wytrzymales, ze nie wytrzymales chociaz chwili dluzej, ze nie dales jej chocby jeszcze jednej sekundy zycia bez tortur.

-Dlaczego to robisz!!!?

-Przeciez juz ci tlumaczylem. Uodporniamy ja na smierc.

-Ale dlaczego mi to robisz, mammo?!!!

-Tez ci tlumaczylem. Ludzie, smiertelnicy, zaistnieli na prosbe elfow, a w kazdym razie za ich sprawa. Jesteś elfem, musisz poczuc sie wspolodpowiedzialny za smierc ludzi. Ludzie nie powinni umierac. Ale zeby elf, tak jak powinien, poczul sie wspolodpowiedzialny za smierc ludzi, niestety, musi paru zabic. Tylko wtedy zrozumie i poczuje doglebnie i prawdziwie, czym jest taka odpowiedzialnosc. Dlatego to ja pociagnalem kiedyś elfy, aby mordowaly ludzi w tej dolinie, pamietasz? W tej opustoszonej dolinie, gdzie ssales moja pierś... Dlatego mowilem ci, zebyś zabijal ludzi i nie przejmowal sie. Musisz wziac na siebie takze i te odpowiedzialnosc, synku coreczko.

-Przeciez... Przeciez to wszystko jest ze soba sprzeczne...

-Tak. Dokladnie tak. Na tym to wlasnie polega, ze wszystko jest ze soba sprzeczne, a kazde dzialanie daje skutek odwrotny do zamierzonego!

-To po co w ogole to robic? Nie lepiej calkiem przestac cos robic?

-Aha. Zeby uniknac nieszczesc, zaprzestac wszelkiego dzialania?

-Tak!!!

-Niestety, tu kazde dzialanie daje skutek odwrotny do zamierzonego. Tu wszystko daje skutek odwrotny do zamierzonego. Jezeli zaprzestaniesz wszelkiego dzialania, aby uniknac nieszczesc, to spowodujesz jeszcze wieksze nieszczescia. No, dobrze, ale przystapmy do

rzeczy, bo igielki stygna...

-Ale to nie ma sensu! Proszę, jeszcze chwile, jeszcze sekunde... Jeszcze odpowiedz mi na jedno pytanie!!! Przecież musi być jakiś mały sens w tym wszystkim!

-Powtarzasz się, synku coreczko. Obawiam się, że robisz to z przerażająco bezczelnej chęci uniknięcia tortur.

-Nieeee!!! Jeszcze chwileczkę! Jak to możliwe, że nie ma sensu... Przecież mówią, że na Świętym Obrazie jest sens wszystkiego!

-O Świętym Obrazie jeszcze porozmawiamy... Ale teraz już dość, przejdźmy do igielkowania.

-Nie!!!

-Chcesz coś ekstra?

-Nie!!! Przepraszam, to znaczy tak!!!

-Tak lepiej.

-Taaaak!!!

-Ciekawe - powiedział Yudi z pełną gębą wędzonego chłopca. - Ciekawe, jakie to uczucie być wędzonym i jedzonym.

-Zadane - wybelkotal Ardzu, który zły o wiele bardziej niż ojca i najwyraźniej miał kłopoty z przelknięciem. - Przecież wędzi się i zjada trupa. Trup nic nie czuje.

-Trup człowieka - powiedział Yudi - ale przecież krasnolud po śmierci zachowuje swoje uczucia, wrażliwość, myśli, całe jestestwo. Krasnolud to materia, z której jest zrobiony, dlatego czuje wszystko także jako trup.

-Dlatego krasnoludów się nie wędzi. I nie je, to przecież byłoby barbarzyństwo - zauważył Agni, dotychczas przysłuchujący się w milczeniu pogwarkom swojego oddziału.

-Ja myślę, że trupowi wszystko jedno - stwierdził nagle Bima.

-Co ty pierdolisz? - Ardzu spojrzał krzywo na czarnego krasnoluda.

-A nawet odwrotnie, nie wszystko jedno. - Bima był zaskakująco poważny. - Bo to przejębane jest. Bo i tak krasnoludowi jest po śmierci na pewno źle. Pomyslcie, gdy was zrania toporem, jaki to kurewski ból. Jak kawałek ciała odpada albo gnije, jaki to kurewski ból. To co dopiero, kiedy całe ciało się rozpada i rozkłada? Przecież nasze ciała po śmierci coraz bardziej się rozpadają, w nieskończoność.

-To znaczy... - podjal Agni, ktory juz rozumial.

-To znaczy - ciagnal Bima. - To znaczy, ze po smierci czekaja nas tylko wieczne meczarnie. Wieczne, niekonczace sie, coraz wieksze i wieksze.

-Chcesz powiedziec... - zaczal Ardzu. - Chcesz powiedziec, ze wszystkie te dzielne krasnoludy, co zginely w bitwach... Ze oni wszyscy mecza sie w nieskonczonosc?

-Tak. Dlatego lepiej juz nie ginac w tych bitwach - stwierdzil Naku. - Lepiej juz trzymac sie tego swojego niesmiertelnego zycia.

-Jak chcesz sie go trzymac? - zapytal Agni. - Przeciez tutaj, tak czy inaczej, kazn ci pisana. Musimy walczyć, bo to jedyna szansa na uratowanie zycia.

-Mysle, ze lepiej zjesc poleglego kolege - zakonczyl Bima. - Wchlanciasz wtedy jego czesc. Przynajmniej znajdzie sie w czymś, co nie jest rozpadniete, w czymś, co jest zywe. Mysle, ze wtedy mniej sie meczy.

-Mysle, ze przejebane jest byc krasnoludem. Ciekawe, skad mysmy sie w ogole wzeli?

-A skad sie wzely krasnoludy?

-Zagadujesz mnie, synku coreczko. Podejrzewam, ze chcesz uniknac porannej tortury.

-Mamo, naprawde nie! Dzisiaj jestem grzeczna! Bardzo chce torturki, bardzo chce! La la la! Tylko jestem ciekawa, ciekawa, ciekawska! Proszę, powiedz!

-Oj, synku coreczko... Rozbrajasz mnie. Dobrze, powiem ci, skad sie wzely brodate ludki, chociaz to troszke wstydliva sprawa. Pamietaj jednak, ze im wiecej wiesz, tym bardziej poglebia sie twoja swiadomosc wszystkiego i tym bardziej jestes za to wszystko odpowiedzialna. Proporcjonalnie, zwiekszy sie takze twój bolik...

-Taaaak!!!

-No wiec, jak ci mowilam, przez nieskonczona ilosc czasu onanizowalem sie, ale nie dawalem rady zaraz po wytrysku tak szybko zmieniac sie w kobiete, zeby zdazyc jeszcze siebie zaplodnic... Moja sperma jest rownie witalna jak moje mleko. Nawet wtedy, gdy wsiakala w ziemie, nie przestawala tam dzialac. Laczyla sie z materia... I byl taki moment, ze wciaz nie udalo mi sie miec prawdziwego dziecka, a juz bylem otoczony przez brodatych ludkow. Strasznie sie meczylem, balem sie, ze zaludnia cala ziemie i nie zostawia miejsca dla moich prawdziwych dzieci. Chociaz krasnoludy powstawali w wiele lat, wiekow, tysiacleci po moim wytrysku. To zalezalo od materii, z ktora laczyla sie moja sperma. Gdy padla na ziemie, natychmiast powstawal z niej krasnolud, przewaznie krasnolud. Gdy padla na drzewo, krasnolud powstawal po roku. Gdy na kamien - co zdarzalo sie najczesciej, bo ziesmia kamienista byla - krasnolud mogl powstac nawet po dziesieciu tysiacach lat.

-Nie rozumiem. To skąd oni się biorą?

-Z zapłodnionej przez mnie ziemi. A jak trysnęło na drzewo, to i z drzewa. A jak na kamień, to z kamienia. Ogólnie, ze wszystkiego, na co trysnąłem. I nadal się rodzą, z dużym opóźnieniem, z kamieni, na które kiedyś trysnąłem.

-I co? I jak zajmowałaś się nimi?

-Nie chcieli, żebym się nimi zajmowała. Czuli do mnie... Chyba jakas odraza... I nie chcieli uwierzyć, że to ja ich splodziłem. To nie były moje prawdziwe dzieci. Nie czułam ich jak dzieci. Czułam ich... Jak rzeczy martwe. A oni... Oni w ogóle mnie nie czuli. I nie chcieli mnie znać.

-To co oni myśleli, że skąd się wzięli?

-Po prostu, z materii, z kamieni... To była prawda, oczywiście, ale tylko połowa prawdy. No dobrze, ale teraz przystąpmy do torturek.

-Taaaak!!!

-Jak już pewnie zdążyłeś się domyslić, moje wszystkie płyny ustrojowe są bardzo aktywne. Ślina, jak wiadomo, pomaga w trawieniu pokarmu, w rozkładaniu go na czynniki pierwsze. Moja ślina rozkłada wszystko, oczywiście, nie licząc mojego własnego organizmu. Wystarczy jednak, że splunę na ciebie, aby wytrawić w tobie mały otworek, który powoli będzie się pogłębiał, pogłębiał i nigdy nie przestanie, chociaż wszystko będzie się odbywać naprawdę powoli...

-Taaaak!!!

-Beda temu towarzyszyć wszystkie doznania typowe dla silnego i przedłużonego kontaktu z substancją zracą.

-Taaaak!!!

Trzy mile dalej znaleźli trupa, który do wędzenia na pewno już się nie nadawał.

-Nigdy nie widziałem czegoś tak spektakularnie zgnilego - stwierdził Yudi.

-Nigdy nie wachalem czegoś tak spektakularnie zgnilego - dodał Bima.

Istotnie, trup mienił się wszystkimi barwami zgnilizny i wydzielal z siebie wszystkie jej wonie. Te kwasna, te slodka, te slona i te gorzkawa. Oczy miał podbiegłe czernią i brązem, reszta twarzy, ręce i stopy były w sinozielonych plamach. Na lewym policzku siedział malutki, jakby zawstydzony robaczek.

-A więc okolica nie jest aż tak bezludna, jak przypuszczaliśmy - powiedział Ardu.

-No tak - zgodził się Saha. - Po pierwsze, jest ten trup. Po drugie, ktoś, kto go zabił. To już dwie osoby.

-Jego nikt nie zabił.

-Myślisz, że zachorował?

-Nie. To nie jest żaden trup.

Na te słowa trup poderwał się i zanim ktokolwiek zdążył coś zrobić, zniknął w zaroślach, gubiąc po drodze dwa zdechłe szczury, które wypadły mu z nogawek, i emitując kolejną porcję trupich zapachów.

-Gonic skurwysyna! Gonic!

-Gonic!

-Gonic, bo nas widział! Doniesie!

Dopędzili go nad rzeczką. Uciekający trup wlaź po pas w wodę i to spowolniło jego ruchy. Barwy zgnilizny z jego ciała i ubrania okazały się farbami, od których woda zrobiła się zielonkawa.

-Trup! - krzyknął Bima i trup stał się trupem. Błyskawicznie cisnięty toporek utkwilił mu w plecach i ciało gruchnęło do wody, która z zielonkawej stała się czerwona.

-Co to było?

-Kamuflat.

-To znaczy?

-Człowiek, który udaje trupa. Są ludzie, którzy próbują wydostać się spod władzy tak zwanego Cesarza, udając trupy. Myślą, że wtedy władza zostawi ich w spokoju. Ale władza Cesarza rozciąga się i na trupy. Teraz ten tak zwany Cesarz kaze ściągac trupy z całego Imperium do takich miejsc, gdzie przyczepia im się druciki i manipuluje nimi tak, że zachowują się, jakby były żywe. Cesarz właśnie nie lubi trupów za to, że wydają się niezależne i obojętne na władzę. Ale jak Cesarz kaze trupom żyć, to mają żyć. Zabiera się je do drucikowni... Dlatego udawanie trupa nie ma sensu i kamuflatów jest coraz mniej.

-To znaczy, że ta okolica jest dość zacofana, skoro tutaj się uchowali.

-Ale to znaczy też, że okolica jest bardziej zaludniona, niż myśleliśmy. Bo jeśli on się przebiera, to dla kogoś. Żeby kogoś oszukać. Czyli musi być tu ktoś, kogo można oszukać.

-To wcale nie jest powiedziane. Mogł to zrobić na wszelki wypadek. Nawet bardzo

prawdopodobne. Uciekl na odludzie, a na wypadek spotkania nieproszonych wedrowcow przyjal kamuflaz. Gdyby okolica byla zaludniona, dotarlaby do niego informacja o nieboszczykach na drucikach.

-Nie, to niemozliwe. W odludnej okolicy, spotykajac kogos raz na rok... I zawsze mogac ukryc sie w gaszczu, przy pierwszym podejrzanym odglosie... Nie, kamuflaz bylby zbytyczny, bylby utrudnieniem.

-A moze on to robil wcale nie dlatego, ze bal sie kogos spotkac? Moze on to robil, zeby sie lepiej poczuc?

-Lepiej?

-Zeby poczuc sie, jako trup, poza wladza Cesarza?

Jondze zaaplikowano mrowki wodne. Oczywiscie, dla wlasciwego wychowania generala Tundu Embroi najwazniejsze bylo to, ze mrowki wodne zaaplikowano jego zonie i synkowi. Ale w Rombie zadna zapowiedz tortur nie mogla byc ot tak, rzucona na wiatr. Jezeli Tundu zapowiedzial Jondze mrowki wodne, dziewczyna nie mogla ich uniknac.

Najpierw byla to lekka, ale ohydna, upokarzajaca pieszczota. Po chwili - laskotki. Potem swedzenie, coraz bardziej nieznosne swedzenie i szczypanie. A pozniej to bylo tak, jakby wsadzono jej w pochwe gabke nasaczona wrzatkiem. Czula, ze wewnatrz ma wielkie ropiejace bable. Odczuwala je tak wyraznie, ze potrafilaby dokladnie opisac kazdy z nich. Potrafilaby, gdyby nie to, ze wyla.

A to byl tylko poczatek. W ciagu najblizszych trzech te dni same odczucia pojawily sie w kazdej cali szesciennej jej ciala. Dziewczyna skowytala nieprzytomnie, dopoki, wyjac, nie wyplula na ziemie polowy swojego jezyka. Jezyk byl zgnily, rozpadajacy sie i calkowicie pokryty bialymi larwami, ktore go przezarly.

Cialo Jongi zmienilo konsystencje. Stalo sie miekkie jak poduszka. Przy dotyku zachowywalo sie tak, jakby skladalo sie z tysiecy malutkich granulek. Dzieki temu Jondze bez trudu udalo sie wysliznac z kajdanow i precisnac przez kraty celi.

Znalazla sie w dlugim ciemnym korytarzu, rozswietlanym wylacznie przez zywe pochodnie - pod scianami stali przykuci do murow, unieruchomieni mezczyzni o usztywnionych zelaznymi sztabami rekach. Te rece byly pomazane smola i plonely. Zaden z mezczyzn nie mial juz sily krzyczec.

Jonga nie umiala juz normalnie isc, byla zbyt miekka, dlatego pelzla po podlodze. Kazdy ruch sprawial jej potworny bol, ale gdy sie nie ruszala, wszystko bolalo tak samo. Bo nawet wtedy, gdy ona sie nie ruszala, i tak wszystko sie w niej ruszalo.

-O! - zawolal mily, meski glos. - A dokad to?



Jonga z trudem spojrzala w gore. Stal nad nia straznik, szczuply blondyn o naiwnej twarzy piecioletniego chlopca. W reku trzymal lepka dyscypline ciovra. Jonga wiedziala, ze uderzenia dyscyplina moze nie przezyc. Jej ciało bylo w takim stanie, ze jedno smagniecie moglo przeciac ja na pol. Straznik nie mial uszu. Nie tylko koniuszkow, ale w ogole calych malzowin. To znaczylo, ze urodzil sie i zostal wychowany w Rombie, nigdy tego miejsca nie opuscil i nigdy nie opusci.

-Zaraz zawrocimy panienke do celi - powiedzial. - Ale najpierw ukarzemy.

Jonga zahuczala i zabelkotala, ale bol w ustach przypomnial jej, ze nie moze mowic, bo przeciez nie ma jezyka. Przewrocila sie tylko na plecy, rozlozyla swoje obwisle teraz uda i zaczela zadkiem imitowac ruchy milosne. Miala nadzieje, ze chlopak, ktory nigdy w zyciu nie byl poza Rombem, wie, co to seks.

Wiedzial. Musial nieraz gwalcic wiezniarki, bo usmiechnal sie lekko i jakby postarzal. Teraz wygladal na bardzo niedobrego czterdziestolatka.

-Pewnie, panienko. Bedzie ruchanko. Ale najpierw biczowanko. Najpierw trzeba ukarac, a dopiero potem mozna pocieszac.

Jonga nic nie mogla zrobic, wiec jeszcze bardziej zmyslowo zwijala sie i jeczala, coraz szerzej rozkladajac uda. Modlila sie, zeby nie smagnal jej miedzy nogi.

-Oj, panienko, panienko, bo cipke wychloszcze... - straznik doskonale wyczuwal jej strach.

Jonga pokazala reka na jego krocze, tam gdzie w rozporku cos robilo sie twarde i coraz wieksze.

-Chcesz, zebym wychlostal cie po cipce tym... - zrozumial straznik. - Ha, myslisz, ze w ten sposob wymigasz sie od bolu! Zapewniam cie, moj meski miecz jest sztywny i twardy, bardziej boli niz niejeden pejcz! A ruchanko ze mna tak naprawde jest rownie bolesne jak biczowanko! Patrz, suko! - zawyl, rozrywajac rozporek i wydobywajac na zewnatrz bardzo skromnego rozmiarami kutasa.

Jonga zawyla, udajac strach przed fiutem. Straznik tez zawyl, tyle ze z radosci. Cisnal dyscypline w kat i rzucil sie na Jonge ze swoim narzadzikiem. Wbil go jej od razu, co poszlo bardzo latwo, byla przeciez miekka.

Potem ryknal. Odskoczyl i zaczal hopsac po korytarzu, ze spodniami opuszczonymi do pol lydki, co chwila objajac sie o zywe pochodnie. Nie zwazal jednak na plomienie. Jego sterczacy fiut caly pokryty byl bialymi larwami i szarawymi mrowkami, ktore blyskawicznie wzeraly sie w ciało.

Wreszcie mezczyzna przewrocil sie. Jonga wyjela mu zza cholewy noz. Juz miala go wbic pod zebro, ale zdecydowala, ze jednak tego nie robi. Oderznela tylko przytroczone do

paska kolko z kluczami. Straznik skowytal i skrecal sie na ziemi, a z rozdziawionej geby ciekla mu piana. Na mrowki w ustach bylo za wczesnie, najwyrazniej pod wplywem bolu facet dostal czegos w rodzaju padaczki. Jonga popelzla dalej.

Kiedy krasnoludy dotarly do wsi Olsniewajace Dobro, dawniej Kuruksetra, byl ranek.

Wies nie zmienila sie od tego dnia, w ktorym otrzymala nowa nazwe i w ktorym Agni widzial ja po raz ostatni. Jedyna roznica polegala na tym, ze zamiast pomordowanych krasnoludow wszedzie lezeli pomordowani ludzie.

Kuruksetra byla osada krasnoludzka, ostatnia na plaskowyzu przed zejsciem w doliny. Agni pelnil w niej funkcje pisarza gminnego, co oznaczalo, ze byl takze rachmistrzem oraz przedstawicielem wsi w kontaktach handlowych z kopalniami i z innymi osadami. Wies zyla z nalezacej do niej odkrywkowej kopalni djausu. Djaus byl bardzo pozytecznym materialem, czymś w rodzaju metalicznej glinki, z ktorej mozna bylo zrobic wszystko. Po obrobce termicznej stawal sie twardy i gietki jak stal. Jezeli suszylo sie go na zimno, przeobrazal sie w cos podobnego do porcelany. Dodajac do niego specjalne substancje o funkcji zabarwiajacej, uzyskiwalo sie doskonale podrobki rozmaitych metali, wlacznie z Zoltym Metalem Dekoracyjnym, ktory kiedys mial tak wielka wartosc. Malo kto jednak wydobywal djaus ze wzgledu na jego specyficzne oddziaływanie. W narzedziach i naczyniach byl nieszkodliwy dla uzytkownika, jednak jego duze ilosci w stanie surowym sprawialy, ze organizm spowalnial funkcjonowanie. Dlatego krasnoludy pracujace w kopalniach djausu powoli oddychaly, rzadko odczuwaly jakikolwiek apetyt, a za potrzeba nie chodzily prawie nigdy.

Agni mial wiec wielkie szczescie, ze akurat tego dnia zachcialo mu sie pojsc za potrzeba. Ze wzgledu na sporadyczny charakter owych potrzeb, kuruksetranskie krasnoludy nie budowaly wygodek i pan pisarz gminny udal sie w pobliskie zarosla. Rzecz jasna, mial zatwardzenie, bo pod wplywem djausu krasnoludy sraly nie tylko sporadycznie, ale i dlugo. I dzieki temu, kiedy wyszedl z krzakow, bylo juz po wszystkim.

-Olsniewajace Dobro, Olsniewajace Dobro, Olsniewajace Dobro! - spiewal jakis nieznany chor, a Agni, gdy tylko piesn uslyszal, zniknal z powrotem w zaroslach.

Podkradl sie jednak do ich skraju i patrzyl, co sie dzieje. Brodate trupy jego przyjaciol, kolegow i osobistych wrogow lezaly na skraju wsi w kaluzach krwi, ktore powoli stygly w wielkie czarne strupy. Dalej skrzypialy kola, wozacy pokrzykiwali, chlopi kleli, a jazgoczace baby lapaly gesi. Na drabiniastych wozach do wsi Kuruksetra sprowadzala sie nowa ludnosc.

-Spiewac, kurwa, spiewac! - krzyczal oficer.

-Olsniewajace Dobro, Olsniewajace Dobro, Olsniewajace Dobro! - krzyczeli ludzie, a potem dalej uganiali sie za drobiem. Nie szlo im to dobrze. Nowa ludnosc Kuruksetry

wydala sie Agniemu jakas niezgrabna.

Nic dziwnego. Wszyscy mieli obcieta prawa dlon.

Schowal sie glebiej w zarosla. A potem zaczal sie wycofywac w strone lasu. Kiedy juz wiedzial, ze na pewno nie mozna go zobaczyc z wioski, pobiegl najszybciej jak umial. Czul, jakby ciagnelo sie za nim cos ohydneho, cuchnacego, lepkiego. Smrod gnijacych cial.

Dopiero w lesie zorientowal sie, ze byl to smrod jego wlasnego gowna, w ktore wlazl, gdy chowal sie w zaroslach. Przesycone djaudem ekskrementy poblyskiwały metalicznie w polmroku, gdy wycieral but o trawe. Wygladalo jak rtec, ale smierdzialo jak gowno. I moglo ulatwic prace psom gonczym.

Wzieli sie do naszych, tluklo mu sie po glowie. Musze znalezc brzytwe i sie ogolic.

Teraz siedzieli w tych samych zaroslach. Tyle ze zrobil sie z nich wysoki, brzozowy las. Trupy lezaly pewnie juz dzien lub dwa, sadzac po zapachu.

-Tych nie uwedzimy - powiedzial Naku.

-A co, za duzo? - spytal Yudi.

-Nie czujesz zapaszku?

-Pachna po prostu czlowiekiem! - ryknal Bitna.

-Cicho, kretynie - syknal Ardzu. - A jesli Patrol Cesarskiego Upomnienia nadal tu krazy?

-Cos sie nie zgadza - powiedzial Agni.

-Co?

-Cos mnie w tym widoku niepokoi.

-Pewnie to samo, co mnie.

-Nie, jest cos jeszcze... Jakbym mial przeczucie...

-Prieczucie? To spierdalamy!

-Nie... no tak. Ludzcy osadnicy mieli w tej wsi poobcinane prawe dlonie. A ci...

-A ci tez maja.

-Przyjrzyj sie.

-A no tak. Rzeczywiście, ci mają obcieta lewa dłoń.

-Ale w sumie to chyba proste - Agni doszedł do siebie. - Pewnie zdążyli tymczasem wybić tamtych osadników i przywiezli nowych. A teraz wybili tych...

-Ale jeszcze nowszych nie przywiezli - skomentował Ardzu.

-No tak, to akurat jest dziwne.

-Może im się osadnicy skończyli? - zapytał Yudi.

-Bardzo możliwe. Gospodarują nimi nieracjonalnie.

-Wiecie co - ocknął się Agni. - Te zwłoki mogą być o wiele starsze.

-No coś ty, śmierdzą jak dwudniowe, góra.

-Ale oni tu kopali dżaus.

-Aha.

-A co to ma do rzeczy? - spytał Bima.

-U was na południu nie ma kopalni dżausu?

-Nie.

-Opary świeżego dżausu spowalniają procesy życiowe. I posmiertne też.

-Aha.

-Idziemy powoli w stronę wioski - zdecydował Agni. - Ja i Ardzu. Wy obserwujecie nas z tyłu. Jakby nagle pojawił się jakiś człowiek, zabijamy go bez wrzasku. Jeżeli to będzie grupa ludzi, to wtedy ja i Ardzu wiążemy ich siły, a wy zachodzicie ich od tyłu. Na czas rozdzielenia wasza grupa dowodzi Yudi.

-A dlaczego nie ja? - jęknął Bima.

-Bo ty jesteś za mądry. Idziemy.

Szli powoli, nasłuchując, czy gdzieś nie szczeknie jakiś pies. W wiosce panowała jednak cisza, jeśli nie liczyć "Eee... eee...", które wydawał z siebie jakiś zniechęcony ptak.

Chalupy wyglądały ciągle po krasnoludzką - były to nieforemne szesciany z ociosanych kamieni, o dachach pokrytych zasiedzianą miedzią.

-Nic nie zmienili - szepnal Agni.

-A co mieli zmieniac - odszepnal Ardzu. - W naszych domach cieplo i sucho, lepiej niz w ichnich.

Otworzyli koslawia furtke w kamiennym murku. Byli na terenie obejscia. Wszedzie wokol fruwalo pierze, jak gdyby drapiezne zwierzeta pomordowaly wszystkie kury. Ardzu podszedl do drzwi chalupy, popchnal je, wszedl do srodka i natychmiast wyszedl.

-Co sie dzieje?! - zapytal Agni.

-Sam zobacz - odpowiedzial Ardzu.

-Wody, pan... Litosci, pan krasnolud... - Z chalupy dobiegl cichy jek.

Agni wszedl do chalupy. Na klepisku lezalo szesc cial. Wlasciwie szesc kadlubow, z glowami, ale bez rak i nog. Cuchnelo niezle, bo kadluby najwyrazniej zalatwialy sie pod siebie, a i odlezyny na plecach im gnily.

Bo kadluby lezaly na plecach. Lezaly i gapily sie wielkimi, wilgotnymi oczami na Agniego. Nie ruszaly sie, poza jednym, ktory sprobował hustnac sie w bok, ale zawyl z bolu i wrocil do poprzedniej pozycji.

-Pan... - powiedzial najstarszy z kadlubow, chyba ojciec rodziny, bo drugi kadlub byl zenski, a reszta to byly dzieci i podrostki.

-Co wy tu robicie? - zapytal Agni.

-Przywiezli, pan, przywiezli na osiedlenie! Ale wczesniej, pan, obrzynali! A potem tu rzucili i powiedzieli: "Gospodarujcie w imie Cesarza! Tylko dobrze gospodarujcie, zebyscie mieli z czego podatki placic, bo za miesiac przyjedziemy!".

-A jak dlugo tu lezycie?

-Dwa dni, pan!

-A wiecej was tu jest?

-Cala osada, pan! W kazdej chalupie taka rodzina... Taka rodzina jak nasza... - brudna twarz poplakala sie, a smrod stal sie jeszcze bardziej intensywny. Nawet ich lzy smierdza, pomyslal Agni i wyszedl z chalupy.

-I co teraz? - zapytal Ardzu.

-Darmowa spizarnia - odpowiedzial Agni cicho, ale najwyrazniej nie dosc cicho, bo z chalupy dobiegl nastepny jek:

-Nie, pan! Litosci, pan krasnolud!

Krasnoludy w zaroslach uradowaly sie, widzac wracajacych Agniego i Ardzu. Jeszcze bardziej uradowaly sie, gdy dowiedzialy sie o wynikach rekonesansu.

-Nie bedziemy siedziec w wiosce - stwierdzil Agni. - Zawsze moze pojawic sie jakis patrol, zeby posmiac sie z kadlubkow.

-Zbudujemy w lesie wedzarnie - ozywil sie Saha.

-Ale bardzo prowizoryczna. Nie mozemy tu byc dlugo - przypominal Agni. - Po prostu podwiesimy ich na belce albo mlodym pniu, ktory wyrwiemy i zawiesimy na dwoch drzewach. Na dole rozpalimy zar, ale zrobimy to w nocy. W dzien widac dym.

-Dobrze - powiedzial Bima. - Bo tata z synkiem juz sie koncza.

Krasnoludy ruszyly do wioski, wywlekajac kadlubki z chalup. Wbrew obawom, ktore po cichu zywil Agni, kaleki okazaly sie bardzo lekkie i poreczne ze wzgledu na brak rak, nog i ogolne wyglodzenie.

-Hej ho! Hej ho! - zaintonowal Bima, dziarsko dzwigajac dwa kadluby.

-Cicho, kretynie! A jesli jakis patrol kreci sie po okolicy? Aj! - Ardzu nagle rozdarl sie jeszcze glosniej niz Bima, bo niesiony przez niego kadlubek ugryzl go w plecy.

-Ty glizdo! - wojownik stracil panowanie nad soba. - To ja bede cie gryzl, a nie ty mnie, glizdo!

-Nie nazywaj go glizda - powiedzial polglosem Yudi.

-Tak? A to dlaczego?

-Bo robi mi sie niedobrze na mysl o tym, ze bede jadal glizde.

Krasnoludy zasmialy sie i weszly w las z pierwsza partia kadlubkow do wedzenia.

-Moze trzeba ich jednak zabic przed zanieшением do lasu? - spytal Ardzu. - Tylko nie gryz, cholero!

-Nie - sprzeciwil sie Agni. - Wlec za soba krwawiace zwloki to niebezpieczne. Nasz slad bylby zbyt widoczny i wyczuwalny dla psow. Musielibysmy ich wykrwawic na miejscu, a to by za dlugo trwalo.

-To moze ich udusic?

-W potrawce?

-Nie, rekami udusic! Zeby nie krwawili podczas transportu.

-Nie, niesmy juz ich tak. Nie chce za dlugo przebywac w wiosce, nie chce nic tam robic. Poza tym twoim, oni na razie nie sprawiaja klopotow. Sa nawet zbyt wycienczeni, zeby plakac.

-Tatusiu mammo, a co zrobisz z krasnoludami?

-Synku coreczko, juz niedlugo bedziesz mnie pytac, co zrobie ze skowronkami. A wszystko po to, zeby przedluzyc przerwe.

-Nie, naprawde nie!

-Wybieraj. Albo ci nie powiem i torturka bedzie od razu, ale slabsza... Albo ci powiem, ale potem zacznie bardziej bolec.

-Potem, potem, potem... Ale powiedz, czy chcesz, zeby oni tez cierpieli?

-Nie chce! Oczywiscie, ze nie chce! Ja nie chce, zeby ktokolwiek cierpial. Ale wszyscy musza.

-A dlaczego oni?

-Bo kazdy z nas jest odpowiedzialny za to, co dzieje sie z innymi. Nie moze byc tak, ze ludzie umieraja po nieskonczenie krociutkim zyciu, a krasnoludy beda sobie zyc w nieskonczonosc i bez problemow. Mowilem ci juz przeciez.

-Ale przeciez one nie sa winne temu, ze ludzie powstali...

-Nie wiem sama, co jest gorsze, lekkomyslne, ryzykowne pragnienie elfow, zeby ludzie powstali... czy kompletna obojetnosc krasnoludow na te sprawy. Elfy cierpialy z tego powodu, ze czlowiek musi umrzec, musi przestac istniec. Krasnoludy nie cierpialy nawet z tego powodu, ze nie istnial w ogole... Kiedy czlowiek nie istnial. Dlatego trzeba bylo przelamac ich obojetnosc i wciagnac w sprawy tego swiata. Twój ojciec pomagal mi zaangazowac je w wojny, glownie z ludzmi. I bardzo dobrze. Musialy zakosztowac ludzkiej smierci, bo za nia tez sa odpowiedzialne. Kazdy jest odpowiedzialny, gdy ktos inny umiera. To za duze nieszczescie, zeby kogos nie dotyczylo. To juz lepiej po prostu tego kogos zabic, niz powiedziec sobie: "Nie mam z tym nic wspolnego, ze on umiera".

-Ale dlaczego kazesz im zrywac brody?

-Dla tej samej przyczyny, dla ktorej elfy musza obcinac sobie spiczaste koniuszki uszu.

-Ale dlaczego?

-Zeby wszyscy poczuli sie jak ludzie! Zeby nie oddzielali sie swoim losem od masy

smiertelnych. Zeby zrozumieli, jak to jest, gdy ma sie pewnosc, ze smierci sie nie uniknie.

-To dlatego predzej czy pozniej kaznisz wszystkich?

-Tak. Zeby nikt sie wywinal. Jezeli choc jedna osoba jest smiertelna, to wszystkich niesmiertelnych powinien spotkac ten sam los. Tylko tak jest sprawiedliwie. I musze miec pewnosc, ze zaden niesmiertelny nie zyje wiecznie, udajac niesmiertelnego. Dlatego represje musza dotkac wszystkich.

-Ale jednak tylu smiertelnych, ile tylko mozesz, zabierasz do Rombu, zeby uodpornic ich na smierc.

-Bo gdy choc jeden smiertelny uzyska niesmiertelnosc, to juz jest lepiej, niz gdyby wszyscy mieli umrzec.

-Ale jesli smiertelny uzyska niesmiertelnosc, to staje sie niesmiertelny. A sam mowiles, ze niesmiertelny powinien umrzec, zeby dzielic po bratersku los smiertelnych.

-Tak, i gdybym tylko mial pewnosc, ze ktorys smiertelny stal sie definitywnie niesmiertelny, moglbym zaczac sie zastanawiac, czy nie zabic go w najbardziej bolesny sposob w imie braterstwa z tymi, ktorzy juz umarli.

-A nigdy nie masz takiej pewnosci?

-Nie mozna miec takiej pewnosci. To, ze ktos przezyl tysiac lat, jeszcze nie znaczy, ze mi nie umrze nastepnego dnia. Albo za nastepny tysiac lat. Zawsze moze sie okazac, ze uodpornilem go na smierc tylko w ograniczonym zakresie. Poza tym, pamietaj, ze technika uodporniania na smierc polega na ciaglym przywodzeniu czlowieka na sama granice smierci. Przy takiej technice latwo jest przesadzic i czlowiek wtedy te granice przekracza.

-A wielu ludziom przedluzyles zycie poza normalna ludzka dlugosc.

-Bardzo wielu, ale ciagle nie wiem, czy to nie sa przypadkiem bardzo dobrze zakonspirowane elfy lub krasnoludy, zakonspirowane takze mentalnie, ktore nawet nie mysla o swojej tozsamosci, ktore mysla ludzkimi myslami, tak zebym ich nie przeniknal. Ale w takim razie coz... Niech cierpia przez wiecznosc.

-Ale po co torturowac niesmiertelnych?!!!

-Niesmiertelni powinni zakosztowac nie tylko smierci, ale takze losu ludzi w Rombie. Choc ten los jest lepszy niz smierc, przeciez nie jest slodki. I za to tez niesmiertelni sa odpowiedzialni. Dlatego jedni z niesmiertelnych umra, a inni beda cierpiec przez wiecznosc.

-Wlasciwie moze nie nalezalo wedzic ich wszystkich - powiedzial Yudi z pelna geba.



-Zwariowales? Dlaczego?! - krzyknal Bima.

-No bo wiecie... Dzwigac ich teraz wszystkich... My przeciez nie musimy jesc, zeby przezyc. Jemy tylko z lakomstwa.

-Z apetytu - poprawil Agni. - A jakbyscie zuzyli zapasy i poglodowali przez dwa tygodnie, to zaczelibyscie myszkowac za zarciem po ludzkich osadach, zlapaliby was i mnie tez, no i sami wiecie, co by sie stalo. A poza tym, to nie bedzie zadne wielkie dzwiganie, one sa lekkie.

Wedzone w dymie kadlubki kolysaly sie na wietrze, rozsiewajac mily zapach. Ardzu podszedl do jednego z nich i odkroil sobie plat miesiwa.

-Patrzcie - powiedzial Agni i wyciagnal z plecaka sfatygowana mape, narysowana na pogietym, popekanym pergaminie. - Tu jestesmy. Ta drozka zejdziemy na rowniny. To jest Rzeka Przeszywajacej Milosci Cesarza, dawniej Ogga, po naszymu Narbada. Tu zaczynaja sie ludne okolice i musimy zalapac sie na jakis transport, najlepiej rzeczny. Teraz bedziemy musieli pozbyc sie naszych brod. Mam na mysli pozbyc sie definitywnie, nie tylko chowac w plecaku, ale w ogole wyrzucic w cholere, najlepiej spalic, zeby nikt ich nie znalazl i nie zaczal zastanawiac sie, skad sie wziely. Narbada doplyniemy najpewniej do miasta Krancowego Posluszenstwa, dawniej Pimpech, po naszymu Rakszapur.

-Skad taka paskudna nazwa?

-Jak to skad? Od tak zwanego Cesarza. I to jest nawet dosyc ciekawa historia, poniewaz...

-Nie, ja mowie o naszej nazwie.

-Rakszapur? No, najwyrazniej tamtejsi mieszkancy nie podobali sie sasiadom. Glownie byly to elfy, a to je kiedys nazywano "Raksza", dopoki nazwa nie przeniosla sie na ludzi i na wyjatkowych skurwysynow sposrod krasnoludow, pamietacie?

-Jak sie ten caly bajzel zaczal, bylismy bardzo mlodzi. I bylismy w Gorach Czerwonych, tam elfow nigdy nie bylo, a o ludziach... O ludziach dowiedzielismy sie pozno. My zawsze "Raksza" mowilismy na chujow, moze dlatego, ze nie mielismy elfow pod reka.

-Jedna samica tam mieszkala - przypomniał Yudi.

-A tak. Ta wariatka. Stare krasnoludy z tamtych okolic nazywaly ja Pontianak.

-Pontianak - powtorzyl Bima.

-Znales ja? U was na Poludniu tez sie pojawiala?

-Pojawiała - powtórzył znowu Bima i nic już więcej nie powiedział.

-Nie mam pojęcia, co to znaczy "Pontianak", to było w dawnym dialekcie. Może ty wiesz?

-Nie - odpowiedział Agni. - Ja też jestem za młody. Język ewoluował jeszcze przed moim wykamienieniem. I co ta Pontianak?

-Chodziła ciągle po lesie z kamieniem w ramionach. Tulila go, płakała i mówiła, że to jej dziecko. Zartowaliśmy, że chce małego krasnalaka wyhodować. Ale ona wtedy się wkurwiała i jak to u elfów, robił się z niej samiec, bardzo nieprzyjemny.

-No dobra... Słuchajcie, w mieście Kranowego Posłuszeństwa będziemy musieli przesiąść się na jakiś inny środek transportu, bo Narbada płynie dalej aż do Morza Złotego, czyli nam zupełnie nie po drodze. I ta przesiadka może być cokolwiek kłopotliwa, bo jak wam już chciałem powiedzieć, nazwa miasta Kranowego Posłuszeństwa bierze się stąd, że Cesarz pociągnął do niego kanały odpływowe z czterech sąsiednich miast, z Vappendy, Kaodai, Sciopy i Miasta Pracowitej Pokory, dawnego Rytangu. Miasto Kranowego Posłuszeństwa zbudowane jest w wawozach, domy zwieszają się na ich ścianach, a dna wawozów służyły za ulice. Mówię "służyły", ponieważ teraz są całkowicie wypełnione kalem, ściwem i odpadkami. Chociaż właściwie nadal służą, bo ludzie pracownicy brną w gównie po szyję, na tym polega ich Kranowe Posłuszeństwo. Na tym polega, a opiera się na tym, że kto próbuje opuścić miasto, jest karmiony piętnastoma kilogramami gówna. Jeśli przeżyje, to idzie do Rombu. Trudno stamtąd wyjść, ale łatwo wejść, przynajmniej z urzędowego punktu widzenia łatwo...

-I łatwo też wdepnąć w gówno - dokończył Ardzu.

-To dlaczego, do kurwy niedzy, w ogóle tam idziemy?! - ryknął Bima, chyba trochę roztrzesiony.

-Bo tamtędy idą główne wojskowe transporty stali i wyrobów metalowych do stolicy, na Dwór Cesarski i do Rombu. Nie przypadkiem wybrałem tę wioskę i jej okolice. Wiecie, co to za wioska?

-Tatusiu mamo... To niesprawiedliwe.

-Co? Ten drucik, którym ci obwiązałem jak szynkę? On dopiero zaczął się wrzynąć. Ten metal ma właściwości kurczliwe. Zobaczysz, to będzie majstersztyk. Zostaniesz zgulaszowany za pomocą malej cieniutkiej nitki. I co najzabawniejsze, będziesz nadal żył. Przeciętą białą tak cienką, że od razu się zagoją, mimo że zostaniesz poszatkowany w wielu miejscach twego ciała. Zaraz po tym, jak drucik przetnie ci żyły, kości, jelita, już w następnym ułamku sekundy te narządy zaczną się zrastać. Będzie tylko bardzo bolało, ale jeszcze szatkowanie się nie skończy, a ty znowu będziesz zdrowy. No, prawie zdrowy... I będzie można obwiązać cię od nowa.

-To niesprawiedliwe!

-Sprawiedliwosc jest niesprawiedliwa, synku coreczko.

-Nie, niesprawiedliwe jest to, ze zabijasz elfy, aby posmakowaly ludzkiej smierci.

-Tak? A to dlaczego?

-Bo przeciez smierc elfa to cos innego niz smierc czlowieka! Co innego jest smierc istoty, ktora urodzila sie, by umrzec, a co innego smierc istoty, ktora urodzila sie, by zyc wiecznie. To nieskonczenie wieksza tragedia! To niesprawiedliwe, zeby za zwykla ludzka smierc karac czymś tak strasznym, jak elfia smierc!

-I tu sie, synku coreczko, mylisz. Smierc jest zawsze straszna. Zawsze. Ktokolwiek by umieral, dla umierajacego umieranie jest zawsze tak samo potworne, niesprawiedliwe i niewyobrazalne. Smierc jest czymś strasznym i nienormalnym. To, ze istnieje cala smiertelna rasa, nie czyni smierci niczym bardziej normalnym, przeciwnie, to jest zwielokrotnienie tej potwornosci. Dlatego dopoki ludzie beda umierac, w imie braterstwa beda umierac takze niesmiertelni. Wszyscy, starzy, mlodzi, nawet dzieci. Bo wsrod ludzi dzieci tez czesto umieraja.

-Dziesiec mieczy! - krzyknal podkwatremistrz Castione.

-Dziesiec em - zapisal kancelista Kurfing.

-Pietnascie standardowych puklerzy!

-Pietnascie pe.

-Siedemnascie i pol topora!

-Siedemnascie i jedna druga te!

-Trzy wlocznie z okuciem i grotem!

-Trzy wu z o i gie-er.

-Dwadziescia... Zaraz, dwadziescia piec nozy do wsadzania w szpary zbroi!

-Jedna czwarta setki en do zet-be.

-Szesnascie batow z kulkami metalowymi na koncach!

-Szesnascie be.

-Siedem razy dziesiec zaciskow do palcow!

-Siedemdziesiąt zet do pe-el.

-Trzy razy po sto cewko-lewatywek wrzatkowych do penisow!

-Trzysta ce-el do pe-en.

-Osiem razy po sto wyciągaków do wyjmowania kości żywcem!

-Osiemset wu-ka do wu-ka-o-zet.

-Dziewiec... Nie, dziesięć razy po sto rtecioceków dousznych!

-Tysiąc er-te do u-es.

-Szesc stalowych posagow, niskich, przedstawiajacych przedstawicieli rzekomej mniejszosci etnicznej!

-Kurwa, a to jak mam zaksiegowac! - wybuchl kancelista Kurfing. - Co oni nam, kurwa, przysylaja!

-Maja nasrane we lbie w tych okregach gornicznych - zgodzil sie podkwatremistrz Castione.

-Jakie jest pismo przewodnie dolaczone do tego transportu?

-Normalne: zbroje, miecze, narzedzia przenikliwosci i wszechwiedzy...

-A jest cos o tych posagach?

-Nie ma.

-Kurwa - zaklal po raz drugi Kurfing. - To zaczyna byc ciekawe.

-Zaraz, tu jest tabliczka... "Posagi jako dar specjalny dla Cesarza Wszechwyciezcy".

-No nie... To jest bluznierstwo - poczerwienial kancelista. - To zaklada, ze Cesarz pokonal przedstawicieli rzekomej mniejszosci, a oni przeciez nie istnieja i nigdy nie istnieli.

-Chcesz powiedziec, ze jak puscimy ten transport, to w stolicy beda zli?

-Nawet nie wyobrazasz sobie jak.

-Aj, niedobrze.

-Nawet bardzo.

-To moze wrzucmy te posagi do rzeki!

-Oszalales? Pozbawic Cesarza jego wlasnosciami?! Czegos, co zostalo wyslane mu w darze? Nie wiem, czy nawet w Rombie jest dostateczna na to kara.

-Ale nikt sie nie dowie.

-Akurat. Przeciez ty doniesiesz na mnie, ja na ciebie i razem pojedziemy do Rombu, do Rombu!

-Cicho! Nie krzycz tak. Jedyne, co nam pozostalo, to sie pozabijac.

-Zwariowales?! Chcesz popelnic cywilna dezercje?!

-Nie... Ja zabije ciebie, a ty mnie.

-Morderstwo to tez niesubordynacja.

-Ale o niebo mniejsza.

-No dobra, ale jak zabijemy sie nawzajem?

-Ja ciebie pchne, a ty mnie. Naraz.

-Tylko szybko, zanim ktos przyjdzie.

-Raz, dwa... Eeeee!

-Aaaaaa!

Zapadla cisza.

-Kurwa - powiedzial po chwili jeden z posagow.

-No, gównojadi, do roboty! Ciezkie, co! To dobrze, ze ciezkie! Nie zaznam spokoju, dopoki nie pekna wam kregoslupy! Nie jeczec! To znaczy, jeczec, ale nie w taki sposob! Nie tak, zebym slyszal, ze jeczenie przynosi wam jakas ulge! Ma byc w nim tylko bol! Ruzzac sie, gównojadi! Pchac cala platforme!

-Przepraszam, panie kwatermistrzu... Dokad pan zabiera te czesc transportu?

-Biore na przechadzke po miescie, aby dopiec tym gównojadom.

-Przepraszam, panie kwatermistrzu, ale dyrektywy sa jasne. Transport Cesarski jest caloscia i nie wolno go dekompletowac... Poza tym, musimy ustalic okolicznosci wzajemnego morderstwa tych dwoch tutaj, zanim przekazemy ich zwloki do lokalnego Teatrum. Jest podejrzenie, ze mogla to byc zakamuflowana cywilna dezercja, a to moze miec wplyw na ich losy w Teatrum.

-Czybys kwestionowal moje rozkazy?

-Nie, ja...

-Skazuje cie na smierc. Masz natychmiast wykonac wyrok sam na sobie!

-To bylaby cywilna dezercja.

-A niewykonanie mojego rozkazu to wojskowa niesubordynacja. Cos jeszcze gorszego.

-Ale ja nie wiem... Nie wiem, czy umiem!

-Sprobuj przynajmniej, by uniknac gorszej hanby.

-Ja... Tak jest!

-Straz! Brac go! Probowal dokonac cywilnej dezercji!

-Ale przeciez... Przeciez to na wasz rozkaz...

-Ja mam prawo skazac cie na smierc. I mam prawo zlecic ten rozkaz temu, kto jest najblizej. Ty natomiast nie masz prawa zabijac sam siebie. Ja mam prawo dac ci rozkaz, a ty wtedy musisz go wykonac. Ale musisz zostac ukarany wlasnie za to, ze go wykonujesz. Straz! Wyrwac mu jezyk, obciac rece i nogi, dobrze zabandazowac, a potem zostawic do mojej dyspozycji. Jeszcze zanim trafisz do Rombu, spedzisz ze mna wiele interesujacych wieczorow! Co to, gwnojady! Ja tu sobie gawedze z porucznikiem, a wy odpoczywacie! W kazdej chwili, kiedy nie wykonujecie pracy fizycznej, macie wykonywac podskoki i poklony, albo bolesnie sie gryzc nawzajem. Pozostawiam wam to do waszego uznania. Za dobry dla was jestem... No, pchac platforme, gwnojady! A teraz na ramiona i idziemy! Szybciej, bo bat bedzie w robocie! To znaczy, bat i tak bedzie w robocie... Ale nie wyobrazacie sobie nawet, co bedzie w robocie, jezeli nie pobijecie dzisiaj waszego wczorajszego rekordu w marszu przez gwno z ciezarem na ramionach! Lubie, kiedy gwno siega wam do ust. Wtedy nie ma zadnego innego miejsca, zeby was smagac, tylko oczy, i to jest cale miodzio sytuacji! Hej, nie zamykac ust! Lykac gwno! Co wy sobie wyobrazacie, ze tylko od zewnatrz ma was bolec? Trzewia maja wam tez pekac od zgnilizny i bolu! Bo jak nie chcecie gwna, to nakarmie plynnymlolowiem! W ostatnim transporcie jest lolowiu pod dostatkiem!

Kwatermistrz Cantico' spojrzal z zachwytem na swoja rezydencje sluzbowa. Byl to maly, jednopietrowy domek polozony na gorce pomiedzy dwoma wawozami. Mial nawet ogrodek. Z dolu dochodzil gesty zapach gwna, ale Cantico' zdazyl sie przyzwyczaić.

-No, gnoje! - zawolal. - Ustawic ich tutaj, w ogrodzie. Ale w roznych miejscach! Ma byc taka pewna nieregularnosc w ich rozstawieniu! No, prawdziwy ogrodek nie moze sie obyc bez figurek przedstawicieli rzekomej mniejszosci! Oni sa falszywi, bo nie istnieja, ale bez

nich ogrodek nie jest prawdziwy. Dobra. Skonczyliście? To do sali tortur. I niech mi który spróbuje dziś w nocy wykitować, posle reszta do stolicy ze specjalną adnotacją "Romb ekstra".

Cantico' wszedł do domku, zgwałcił swoją gospodynię i jej córkę, chociaż właściwie trudno to było nazwać gwałtem, były już tak zobojetniałe. Dlatego, żeby trochę je rozruszać, wychłostał je ciovra, a następnie znowu zgwałcił i tym razem było już przyjemnie. Potem kazał podać obiad. Było wystawnie, bo udało mu się załatwić groch i słoninę. Po zjedzeniu poszedł do sali tortur zobaczyć, jak niewolnicy dają sobie radę w samomeku. Samomek był jednym z genialnych wynalazków Wielkiego Cesarza. Był to skomplikowany układ zamknięty składający się z różnych przyrządów, pomiędzy które wplatało się żywe ludzkie ciała, połączone z maszynami. Wystarczyło, aby jedno z ciał wykonało minimalny ruch, żeby któryś z przyrządów zaczął działać, sprawiając ból najbliższemu towarzyszkowi niedoli. Ten skrecał się i zwijał, uruchamiając następny przyrząd, który torturował kolejnego z niewolników, i już po chwili cała maszyna działała, a skurcze i konwulsje jednych dreczonych ciał uruchamiały udreki dla następnych, aż w końcu męczarnia docierała z powrotem do pierwszego, który się poruszył, i cały mechanizm mógł w ten sposób działać bez końca. Tortury były napędzane bólem, więźniowie sami męczyli się nawzajem. Jedynym sposobem na uniknięcie tortur był całkowity bezruch i zdarzało się, że niewolnicy potrafili w nim wytrwać nawet przez pół nocy. W pewnym momencie jednak sam bezruch zaczynał być dla nich torturą tak straszną, że któryś musiał się poruszyć... I wtedy cisza przestawała drażnić uszy kwatermistrza Cantico'.

Tym razem gównojady były wyjątkowo uparte, więc żeby pobudzić je do poruszania się, Cantico' biegł między nimi z piorkiem i laskotal we wszystkie wrażliwe miejsca, których mógł sięgnąć między pretami i łańcuchami maszynierii. No i ta nagle ruszyła, a jeden z bólców o mało nie przeklecił dloni kwatermistrza. To rozszło go tak, że dodatkowo wypełnił rynienki irygacyjne wrzatką. Potem wyszedł do ogrodka ponapawac się swoimi figurkami ogrodowymi. A właściwie figurami, bo były bardzo duże. Duże i jakby żywe...

O kurwa! To były prawdziwe krasnale! Tylko pokryte warstwą dżausu, który wyglądał jak metal! Jeden z nich właśnie podniósł...

-No, ten za bardzo śmierdzi gównem, żeby go jeszcze - oświadczył Bima. - Może dzisiaj złjemy coś lepszego? Czuje zapach grochu.

-I słoniny - uśmiechnął się Naku.

-Dobra - powiedział Agni. - Tylko wrzuccie zwłoki do tego lochu, tam, gdzie coś tak ryczy.

-Trzeba by sprawdzić, co to tak ryczy - zauważył Ardzu.

-Tak, ale najpierw wrzucmy tam trupa.

-Nie wiem, czy to rozsądne.

-Ja tez nie wiem, ale pozostawienie go tutaj w ogrodzie na pewno nie bylyby rozsadne. Moze przechodzic Patrol Wieczornej Wszedobylskosci, czy jak sie te chuje nazywaja. Nie zakopiemy go przeciez, nie ma czasu.

Ardzu wzruszyl ramionami i podszedl do okienka, z ktorego dobiegaly ryki. Wepchnal grubasa do srodka. W srodku zaryczalo glosniej, ale jakos dziwnie.

-Slyszeliscie? - zapytal Yudi. - To jakies wesole bylo.

-Chodzmy - rozkazal Agni. - Nie ma wyjścia, musimy sie teraz schowac w tym domku.

Na pierwszy rzut oka nie bylo w nim nikogo. Spod loza dobiegal jednak wyrazniejszy zapach gowna i wszystkie krasnoludy go wyczuly. Bez wiekszych problemow Ardzu wyciagnal spod lozka naga i pokryta pregami dziewczynke, a zaraz potem naga i pokryta pregami kobiete. Kształtna, chociaz chuda.

-Ej, chlopaki, tam w lochu jest cala masarnia - krzyczal podniecony Bima, przybiegajac z podziemi, kiedy nagle zobaczyl samice i zamilkl.

-No... pouzywamy sobie - oznajmil zmienionym glosem.

-Dziewczynki nie dotykac. - Agni powiedzial tylko tyle.

-No prosze... Jaki humanitarny nasz dowodca sie zrobil - syknal czarny krasnolud. - Czy ty z ludzmi za dlugo nie zyles? Dwidzi dwidzi? Dwidzi dwidzi? Wiesz, ze u tych potworow dziecko wylazi z brzucha? A wlasciwie z dupy? Dlatego tak je kochaja, bo to jest ich gówno. A moze ty zalujesz, ze my nie mozemy dzieci miec? A wiesz, co sie u nas robilo z krasnoludami, ktorym sie takie bredziolki roily? Na przodku do sciany sie przykuwalo!

-Dziewczynki nie dotykac - powtorzyl Agni.

-Dobra, nie wyrucham jej, choc ciagle mi nie wyjasniles, dlaczego. Ale zjesc moze? Nie przeszkadzalo ci, jak udusilem tamtego chlopca.

-No, on chcial nas zjesc...

-A kadlubki?



-Im trzeba było skrócić meki.

-A tej siksie nie? Przecież to człowiek, czekają ją tylko meki, a na końcu unicestwienie. No, a poza tym, to jeszcze bardziej delikatne mięso niż chłopiec. To rarytasik dla strudzonego wędrowca, który przez dwa dni musiał stać na baczność i udawać posag, bo ma takiego genialnego dowódcę.

-Nie damy rady jej uwieść. Tu nie ma miejsca. I nie ma czasu - powiedział powoli Agni.

-Tiak? Ale zjeść na surowo mogę, no nie? Takie delikatne mięso... Ardzu, Yudi, wy będziecie dziewczynkę trzymać, żeby nie uciekła, będziecie mi ją podsuwać i obracać, tak żebyśmy mogli ją obgryźć ze wszystkich stron, równocześnie posuwając jej matkę, co?

-Najpierw będziesz chyba musiał ją zabić, bo zaczniesz bronić dziecka - powiedział Yudi. - U ludzkich samic to jest impuls nieodparty.

-O nie, zwiążę ją tylko i niech widzi, co się dzieje. Niech słyszy krzyki obgryzanej dziewczynki. To będzie doskonała przyprawka do delikatnego mięsa.

-Marzyciel - powiedział Saha.

-Bima, czy ty w ogóle wiesz, co to jest dziecko? - zapytał Agni.

-Szczeniak. Ludzki albo elfi.

-Dziecko to jesteś ty w momencie, w którym się wykamieniasz. Pamiętasz, jaki wtedy byłeś kruchy i słaby?

-Spierdalaj.

-A gdyby ktos cie wtedy dopadl? I zaczal na przyklad walic w ciebie mlotem?

-Spierdalaj!

-Agni, przestan - powiedzial Ardzu.

-Probuje mu wyjasnic...

-Nie mozesz mu wyjasnic, jak nic nie wiesz.

-Ardzu, ja tu jestem dowodca.

-Nie w tej sprawie.

-W kazdej sprawie.

-Nie mozesz byc dowodca w sprawie, o ktorej nic nie wiesz.

-A czego nie wiem w tej sprawie?

-Daj spokoj, Ardzu - poprosil Bima jakos dziwnie bezbarwnie.

-Niech wie. To, o czym mu mowiles... Wydarzylo sie.

-Co?

-Ktos probowal zrobic mu krzywde, kiedy sie wykamienial.

-Kto?

-Jak to kto? Elf. Elfia samica.

-Młotkiem?

-Nie. Oni tam na południu wykamieniają się z węgla. Dlatego są tacy czarni. I kiedy on zaczął się wykamieniac, ta elfica brała właśnie węgiel, żeby go podpalić. I kiedy zobaczyła, że z jednej bryły wykamienia się krasnolud... Nie zostawiła go, nie odłożyła, tylko rzuciła w ogień, żeby go spalić jak najprędzej. Żeby powstrzymać...

-Nie udało się. Przyszedłem na ten świat - powiedział Bima - ale poparzony. Pamiętam, że ona miała wtedy swoje dziecko.

-I rzuciła cię w ogień, żeby ogrzać swoje dziecko.

-Wątpię. Bo zaraz potem rzuciła w ogień swoje dziecko.

Przez chwilę było cicho.

-Nienawidzę kurwy - powiedział. - Elfów w ogóle nienawidzę. Ale tej kurwy... To była Pontianak.

-Co?

-To była ta wasza Pontianak. My też ją tak nazywaliśmy. Mówiono o niej, że to matka i ojciec wszystkich elfów. Bo że wszystkich elfów tylko ona umiała zapłodnić elfice, jako samiec. I tylko ona, jako samica, mogła być zapłodniona przez innego elfa... Tfu, elfy to zwierzęta, parzą się jak bestie...

-Ty też parzyłeś się jak bestia z gospodynią naszego kwatermistrza... - zauważył Yudi.

-Ale ja to robiłem, żeby pociupnąć, nie po to, żeby jakies

swinstwo sie w niej zaleglo.

Krasnoludy tkwily skulone pomiedzy wielkimi przyzmami ogorkow. Ogorki byly juz tak zaplesniale, ze zbily sie w kilka scisle zrosnietych blokow. Bylo jasne, ze po dotarciu na miejsce beda nie tylko niejadalne, ale takze niebezpieczne, jako zrodlo epidemii. Juz teraz byly niebezpieczne ze wzgledu na zyjace w rzece stworzenia.

Ogorki transportowano barka z miasta Vart do miasta Zachwycone Spojrzenie Wdziecznych Poddanych, a docelowo jeszcze dalej, do stolicy. Barka plynela po rzece Woda. Woda w rzece Woda byla malo wodnista za sprawa tchornic. Tchornice byly prawdopodobnie ogromnymi, zmutowanymi kalamarnicami, ktore przeniosly sie z morza do niktorych rzek Cesarstwa. Podobnie jak matwy, gdy czuly sie zagrozone, wydzielaly z siebie gesta ciecz dezorientujaca przeciwnika. Tyle ze ciecz, wydzielana przez matwy, byla po prostu czarna, natomiast ciecz wydzielana przez tchornice byla takze niewiarygodnie cuchnaca, a po chwili przeobrazala sie w lepka, gesta maz, blyskawicznie tezejaca. Kazdy potencjalny przeciwnik tchornicy natychmiast znajdowal sie w dryfujacym po powierzchni zastyglym kozuchu. A wlasciwie w czarnej, cieplej, smrodliwej krze. Kra miala te zalety, ze byla lzejsza od wody, dlatego uwieziony w niej czlowiek nie tonal i nie dusil sie. Pod warunkiem ze glowa wystawala mu na zewnatrz. Niestety, substancja, z ktorej zrobiona byla kra, powodowala procesy rozkladowe nawet w zywym ludzkim ciele, dlatego jej wiezien gnil za zycia. Z potencjalnego zagrozenia dla tchornicy stawal sie jej pozywieniem. Tchornice podplywaly bowiem do unieszkodliwionych wrogow i przyczepiajac sie otworem gebowym do dowolnego otworu w podwodnej czesci

ciała ofiary, wysysały z niej powolutku wszystkie zgnile soki. Płynac po Wodzie, co jakiś czas spotykało się dryfujące wysepki, z których wystawały wyjące lub szlochające ludzkie głowy.

Niestety, tchornice lubiły wszystko, co zgnile, dlatego od czasu do czasu próbowały opleść barke mackami i wciągnąć ją pod wodę razem z ogorkami. W takich sytuacjach krasnoludy rabowały toporami czarno-przezroczyste gumiate odnoża, pokryte przyssawkami, kolcami i parzydelkami. Wcześniej jeszcze, na samym początku, wrzuciły do wody kapitana razem z całą załogą. Zaspokoilo to jednak tchornice tylko na krótką metę. W każdym zakolu bytowało co najmniej pięć czy sześć stworów, a rzeka Woda praktycznie składała się z samych zakoli.

Najprościej byłoby pozbyć się ogorków, wrzucając je do rzeki. Niestety, było to niemożliwe. Ogorki stanowiły dla krasnoludów paszport na podróż po rzece. Za każdym razem, gdy podpływała do nich łódź Bystrej Straży Cesarskich Wód, wystarczał jeden powiew, aby strażnicy oddalili się natychmiast, wiosłując z całych sił. Przerazał ich nie tylko zapach. Najgorsza była świadomość, że ten zapach na pewno przyciągnie tchornice.

A swoją drogą wiele innych statków musiało wieźć podobne ładunki, bo wszędzie jak okiem sięgnąć widac było dryfujące, osiadłe na mieliznach lub w szuwarach wraki łodzi i barek rozdartych przez tchornice. Ich wregi i dzioby wystawały ponad wodę. Tłoczyły się na nich popiskujące nietoperzyki pingwinie, małe ssaki o bezwłosych, prawie ludzkich twarzach, które straciły zdolność latania. Zaadaptowały się do życia w rzece, a ich skrzydła przeobraziły się w pletwy. Co rusz skakały do wody. Nie bały się tchornic. Zastygła wydzielina tych mieczaków była ich głównym pożywieniem. Dlatego miejscowi żeglarze uważali, że

nietoperzyki sa najbardziej odpornymi na gnicie stworzeniami, a ich krew to najlepszy srodek odkazajacy. Co wiecej, wierzyli, ze istoty tak odporne na rozklad musza byc niesmiertelne. Dlatego tez gdy tylko mogli, zabijali je. Nie tylko po to, zeby zdobyc krew, ale takze z zazdrosci o niesmiertelnosc.

-Bima, a jak ty sie wykamieniles, to byli juz ludzie?

-A jak myslisz?

-Mysle.

-I co wymysliles?

-No powiedz.

-No pewnie, ze byli! A skad by przyszlo do glowy elfce, ze krasnoluda mozna zabic? Ze w ogole mozna zabic? Musiala najpierw popatrzec, jak zdychaja pomioty.

Od pewnego czasu mieli wiatr w zagle. Plyneli dosc szybko, zeby tchornice nie mogly za nimi nadazyc. Roztracali dryfujace wysepki z jeczacymi ludzkimi glowami, mijali wodne malpki i pingwinie nietoperze podskakujace na falach, a Naku probowal nawet nalapac ryb w ciagnieta za barka siec, ale wszystkie ryby, ktore udalo mu sie wylowic, byly na wpol przezroczyste i na wpol zgnile.

-Kwiii... Kwiii... - wydawal z siebie dziwny, jakby prosiaczkowaty odglos, kiedy rzygal po powachaniu jednego z polowow ze zbyt bliskiej odleglosci.

-Jeszcze nie slyszalem, zeby ktos tak rzygal - stwierdzil Yudi.

-Jeszcze nie powachales zadnej z tych rybek - odpowiedzial Ardzu.

-No cos ty?! Chcesz powiedziec, ze smierdza bardziej niz nasze ogorki? - zdumial sie Yudi.

Pod wieczor wpłyneli w szerokie rozlewisko rzeki. Na wodzie unosily sie jajowate obiekty wielkosci niemowlecych glow, ktore syczaly.

-No, to przejebane - jeknal Agni.

-Dlaczego?! - Ardzu byl czujny.

-To sa jaja tchornic. Tutaj zlozyly leg.

-Aha. Zaatakuja nas, bo zaklocamy spokoj ich... dzieciom.

-Nie. Beda atakowac sie nawzajem, a przy okazji my mozemy pojsc na dno.

-Zaatakuja sie tam, gdzie zlozyly jaja?

-Tak. Tak sie sklada, ze zanim tchornica zlozy jajo, wkłada w nie maksimum substancji pozywnych... to znaczy, dla niej pozywnych... jakie ma w organizmie. Sa to, rzecz jasna, wlasnie te substancje, jakich tchornica najbardziej potrzebuje, gdy ma zamiar wyhodowac w sobie jajo. Dlatego gdy tchornica czuje, ze zbliza sie czas na jajo, szuka innej tchornicy, ktora juz jajo zlozyla... I pozera to jajo. Matka jaja probuje go bronic. Dlatego w takich miejscach... No, sztorm to przy tym pikus.

-To co mamy robic?

-Chyba tutaj będziemy musieli pozbyć się naszych ogorków. Jak tylko coś się zacznie, niezależnie od wszystkiego musimy pozbyć się naszych ogorków.

-Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa... - Bima śpiewał dość nieskomplikowaną piosenkę.

-Nie trzesz się tak - pouczył go Ardzu. - Bo zlecimy wszyscy z tego drewna.

-Czy mamy w ogóle jakas szansę?

-Tak. Na razie wszystkie zajęły się naszymi ogorkami. Musimy wiosłować rękami w stronę tych szuwarów. Widzicie te mielizne ze zgnilymi trupami? Tchornice tam się nie dostana.

-To ciekawe, skąd te trupy.

-Gdyby mogły tam się dostać, żaden zgnily trup nie leżałby nawet przez sekundę.

-Ale to nie może być fajne miejsce, skoro leżą tam zgnile trupy.

-No właśnie. Ktoś musiał ich zabić.

-Sądze, że umarli z głodu, bo nie mogli przedostać się z mielizny na suchy ląd, gdy naokoło pływały tchornice.

-Aha.

Na chwilę zapadła cisza.

-Nieważne - syknął Agni. - Wiosłować rękami. Lepiej tam



siedzieć przez całą wieczność niż dać się zjeść tchornicom.

-Myśle, że oni cierpieli nie tylko z głodu, ale i z pragnienia. Tej wody przecież nie da się pic.

-Wiosłować nogami! Wiosłować!

-Ale ja się boję wsadzać ręce do wody.

-I tak wsadzasz nogi, przecież na tym balu drzewnym da się siedzieć tylko okrakiem.

-Ale jak wsadzam ręce, to jeszcze bardziej czuję się w wodzie.

-Nie myślałem, że taka porządna barka może pęknąć w jednej chwili.

-No wiesz, cztery tchornice naraz...

-I jedna taka wielka...

Mielizna zbliżała się coraz bardziej. I coraz bardziej cuchnęła. Samym zapachem powinna przywoływać tchornice, ale te najwyraźniej zrozumiały, że trupy na piasku są dla nich niedostępne. Albo po prostu ogorki cuchnęły pięknie.

Krasnoludy dobiły w końcu do piaszczystej lądy. Wykonczone, walily się na wilgotny piach między trupami, jeczac cicho.

-I co teraz?... - zapytał w końcu Ardzu.

-Do brzegu mamy jakieś dwieście lokci - stwierdził Agni. - Szesćdziesiąt lokci po gładkiej wodzie, dalej są szuwary. W

szuwarach będzie im trudniej. To szablotrzcina, o ostrych, kaleczących brzegach. A tchornica miękka, machnie macka i po macce. Musimy tylko przebyć te trzydzieści lokci. Teraz pewnie nam się nie uda... Widzicie te zmarszczki na powierzchni wody? To one. Maja już dość ogorków, znowu podplynęły tutaj. Smród je ciągnie. I bardzo dobrze.

-I dobrze?! - krzyknął zdumiony Yudi.

-I dobrze, bo gdy trochę odpoczniemy, to wrzucimy te wszystkie trupy z mielizny do wody od tej strony, od strony rzeki. A my szybko pozejdziemy w drugą stronę, w stronę szuwarów, na naszym balu drzewnym.

-Szefie! - krzyknął Naku, przyglądając się trupom. - Co to za istoty? To nie elfy, nie ludzie i nie nasi! Maja pośrodku czoła trzecia mała raczka!

-Nie wiem - odpowiedział zmęczony Agni. - Ale to nieważne. Ważne, że są zgniłe.

-Boję się - przyznał się Bima.

-Zamknij się. - Ardzu też się bał.

-Nie ma się czego bać - belkotał zielony ze strachu Yudi. - Krasnolud to byt, forma materii... Jak umrze, zmienia stan skupienia, ale nie znika...

-Zamknij się.

Bryzgi wody i strzepy mięsa przelatowały nad piaszczystą lachą. Cuchnaca maza opryskiwała krasnoludom karki i plecy. Po drugiej

stronie mielizny, w wodzie, trwało szalenstwo. Tchornice wyrwały sobie nawzajem zgnile ciała, które rozpadały się z osobliwym mlaskiem. Brzmiało to tak, jak gdyby bardzo zadowolony olbrzym ze smakiem jadł owsiankę.

Krasnoludy wlażyły do wody i wszystkie zatrzesły się jednocześnie. Usiadły okrakiem na mokrym, podgnitym balu, a potem zaczęły wiosłować rękami. Bal zadygotał i powolutku zaczął płynąć w stronę szuwarów.

-Wszyscy na ład!!! - krzyknął nagle Agni. - Z bala i z powrotem na mielizne!

-Co?!

-Natychmiast!

Krasnoludy rzuciły się do rzeki. Woda wydała się Agniemu strasznie gęsta, ciężka i obojętniająca, jak gdyby tchornica już zdążyła wypuścić z siebie tezejacy klej. Poczuli coś tak strasznego, że aż przyjemnego. Rezygnacje. "Śmierć jest słodka? - coś powiedziało w jego głowie. - Przynajmniej już nie będę musiał wał...". Przemógł się jednak i dobiegł do brzegu, rozchlapując wodę.

W ostatniej chwili. Wielka tchornica, która musiała zauważyć ich żegluge, dopływała już do bala. Tuż pod powierzchnią wyraźnie było widać jej ogromne, błękitne, niewinne oczy. Wszystkie krasnoludy wyszły już na ład. Mieczak, najwyraźniej wściekły, oplótł mackami drewno, a potem nagle rozdarł je na kilka kawałków i rozrzucił naokoło. Tylko jeden trafił na wysepkę, reszta poleciała w szuwary.

-No to niezle - rzekl Bima.

-Posiedzimy tu, dopoki nie znajdzie sie jakis sposob.

-Posiedzimy, dopoki nie znajdzie nas patrol Bystrej Strazy.

-To prawda - przyznal Ardzu. - Musimy dac sie zaaresztowac, a potem zabic tych, co nas aresztowali.

-Superproste.

-A znasz prostszy sposob?

-Mam! - zawyl Agni.

-Co? Co sie stalo?

-Mam prostszy sposob. No, moze nie prostszy. Ale nie trzeba bedzie dac sie aresztowac. Nikt nas nie bedzie musial stad wyciagac, nikt nas nie zobaczy...

-Ale?

-Jest ale.

-Dwoch z nas bedzie musialo umrzec.

-Co?! - zadygotal Yudi.

-Przeciez nie ma sie czego bac. Krasnolud to byt, forma materii. Jak umrze, zmienia stan skupienia, ale nie znika - wyszczerzyl sie Bima.

-Zamknij sie.

-Wszystko, czego potrzebujemy - kontynuował Agni - to dwie tchornice...

-Tego tu nie brakuje.

-I dwa żywe krasnoludy w wodzie, jeden w odległości dziesięciu, a drugi dwudziestu lokci od wysepki.

-O ja pierdole. - Ardzu zrozumiał, na czym polega plan.

-Ale jak te dwa krasnoludy mają utrzymać się na wodzie? - zapytał Naku. - Przecież my pływać nie umiemy. A jak który pojdzie na dno, zanim tchornica go dopadnie, to ona go zakłajstruje na dole. On wtedy nie wypłynie na powierzchnię. Ta mazia pływa, bo tworzy płaskie wysepki jakby tratwy. Jak powstana na powierzchni, to pływają, ale jak powstana na dole, to już tam leżą.

-Ja umiem pływać - powiedział Bima.

Krasnoludy zamilkły i spojrzały na niego.

-Ja umiem i ja pójdę - oświadczył Bima. - Mam dość tego całego gówna.

-Ale wiesz... Pamiętaj, że twoje cierpienia się nie skończą - zamamrotał Saha. - Przecież po śmierci krasnolud nadal czuje. I sam mówiłeś, że okropnie cierpi, jak się rozkłada, rozpada...

-Ale przynajmniej nie będę musiał się tego bać, bo to się już wydarzy. Miałem nadzieję, że wy mnie zjecie... Ale przynajmniej

zje mnie tchornica. I pewnie jakas czastka mnie bedzie w niej sobie wesolo hulac. Uwazajcie tylko, bo bedzie to najbardziej wredna tchornica w okolicy - usmiechnal sie Bima. - Ide. Pod warunkiem ze pojdzie takze Yudi.

-Co?!

-Przeciez nie boisz sie, Yudi. Sam mowiles.

-Ja nie umiem plywac!

-Nie musisz. Dziesiec lokci od brzegu jeszcze ustoisz, jak staniesz na palcach. A nie bedziesz musial dlugo stac.

-Nie!

-Tyle nagadales o tej smierci, to teraz pokaz nam, jak sie umiera.

-Nie!

-Dobra, ja pojde - wydusil z siebie Ardzu.

-Nie - ucial Agni. - Ty pojdziesz, Yudi.

-Ja? Dlaczego ja?

-Bo jestes z nas najslabszy. Fizycznie i psychicznie. Jestes najslabszym czlonkiem zespolu, a wiec zmniejszasz nasze szanse. A tak to mozesz sie do czegos przydac. Powinienes byc dumny.

-Nie! Niech Ardzu idzie, on chce!

-Nie moze pozwolic, zeby Ardzu szedl. To nasz najlepszy szermierz. I najlepszy kandydat na nowego dowodce, gdybym ja poległ.

-Nie!

-Zrozum, Yudi - powiedzial Ardzu z ulga. - To koniecznosc.

-Caly zespól tego chce - dodal Naku.

-Caly?

-Caly - odpowiedzial Saha.

-Nie!

-Jezeli nie pojedziesz, to cie porzucimy.

-Tutaj? Nie ma gdzie.

-Moze raczej powinienem byl powiedziec "podrzucimy" - Agni byl calkowicie powazny. - Podrzucimy cie tchornicom.

-Mam lepszy pomysl - powiedzial Bima. - Skrecimy line ze strzepkow naszych szmat, zwiazemy go i przymocujemy do tego kawalka belki, ktory tchornica laskawie cisnela nam na mielizne. Umiescimy go w odpowiedniej odleglosci od brzegu, a sami na ladzie bedziemy trzymac koniec liny, zeby nie oddryfowal. On nie bedzie mogl sie poruszac i nigdzie nie odplynie. Jego szamotanie najwyzej przyciagnie tchornice.

-Nie!

-To co, sam wejdiesz do wody?

-Skurwysyny! Chlopaki, nie!!! Skurwysyny! Chlopaki!!!  
Skurwysyny! Chlopaki, nieeee!!!....

Yudi zamilkł i szarpnął się, widząc zbliżającą się parę wielkich niezapominajkowych oczu. Kawal belki obroczył się w wodzie razem ze związanym krasnoludem, który na skutek tego znalazł się na chwile pod wodą, potem wynurzył się dupa do góry i powrócił do poprzedniej pozycji, niejako fikając kozła razem z drewnem. Nieco dalej, bliżej szuwarów, Bima parsknął i zabułgotał.

Woda zasmierdziała intensywnie, lekko zasyczała, a po chwili na powierzchni pokazał się ciemnoszklisty kozuch. Krasnoludy w wodzie zawyły. Po chwili ich głowy sterczały z czegoś, co wyglądało jak gruby, twardy, czarny lod.

Pomiędzy lacha piaskowa a szuwarami powstały dwie mocno niestabilne wysepki, każda szeroka na jakies dwanaście lokci. Pośrodku tej bliższej wystawała wyjaca głowa Yudiego, pośrodku drugiej tkwił kędzierzawy łeb Bimy.

Dwa wielkie podwodne kształty oddalały się w stronę zatoki po drugiej stronie rzeki. Tchornice wiedziały, że teraz trzeba dać ofiarom czas na zgnicie żywcem. Tymczasem można było odwiedzić inne łowiska.

Agni jako pierwszy wszedł na chybczająca się kre. Kiedy przechodził obok unieruchomionego Yudiego, ten napluł mu na nogawkę. Ardzu, który szedł jako drugi, kopnął sterczącą głowę z rozmachem.



-Wiecej godnosci - dodal jeszcze.

Yudi rozplakal sie. Agni przeszedl na druga wysepke.

-Bywaj, Bima - powiedzial.

-Bede bywal - wydusil z siebie czarny krasnolud. - Kurwa...  
zebyscie wiedzieli, jak to sciska szyje...

Krasnoludy dotarly do gestych zarosli przybrzeznnych. Tu znowu bylo plytko, za plytko dla tchornic. Poza tym zadna tchornica nie umialaby poruszac sie pomiedzy twardymi, ostrymi lodygami szablotrzciny. Nawet krasnoludy mialy z tym klopot. Musialy sobie wysiec sciezke nozami.

Kiedy halas scinanych lodyg ucichl, Bima zaczal jeczec. Najpierw cicho, potem coraz glosniej. Oklejajaca mu szyje i plecy stwardniala maz powoli przesaczala swoje soki gnilne w jego cialo. Gnicie, jak sie okazalo, potwornie swedzialo. Bardziej chyba nawet swedzialo, niz bolalo. A to okazalo sie trudniejsze do wytrzymania niz bol.

Pod wieczor krasnoludy dotarly do malej wsi otoczonej palisada. Nad brama wisiala deska z wyrzezanym napisem "Osada nieczynna", ale Agni na wszelki wypadek kazal kompanom nasluchiwac, czy ktos sie za palisada nie rusza. Po godzinie ciszy, ktora zaklotalo tylko "eee... eee" zniecheconego ptaka, krasnoludy ostroznie popelzly zaroslami w strone bramy.

Osada byla faktycznie nieczynna. Wszedzie lezaly trupy ludzi, ale dosyc osobliwych, bo kazdy z nich mial jedna blizne na czole. Jedna malenka blizne na czole i jedna wielka blizne na brzuchu.

Ta ostatnia była jakby... zaszyta.

-Ciekawe, dlaczego nie smierdza? - zapytał Naku.

-Mowisz, że to świeże trupy!? - przestraszył się Saha.

-Nie, krew dawno już zakrzepła. Ale zalać powinny.

Odpowiedz na pytanie znalazła się dość szybko. Pośrodku osady znajdowała się ogromna drewniana tablica z wyrytym tekstem, który na szczęście zdążył już ściemnieć. Tekst głosił: "Ta oto niegodna miejscowość, której nazwa została wymazana z map i rejestrow, wzbierała się przed oddaniem w niewolę w ramach spłaty Podatku Nieskonczonej Wdzięczności. Specjalny Cesarski Wysłannik, Lisse Kirjapoika o zaszczytnym przydomku Uśmiechnięta Sprawiedliwość, nakazał, aby trzesących się o swoje miejsce zamieszkania i mienie niedźnych niewdzięczników na zawsze w tym miejscu zakonserwować. Zakonserwowanie odbyło się poprzez wypchanie niewdzięczników trującymi proszkami i ziołami. Słowa te pisałem ja, Hojtan Hajja, sołtys i pisarz tej niedźnej miejscowości, który dodatkowo winny jest uważania się za przedstawiciela rzekomej zanikającej mniejszości etnicznej, wyróżniającej się posiadaniem trzeciej, małej ręki na czole. Jako wyjątkowo ohydny przestępca, zostanie teraz odesłany do Olsniewającego Miasta Pierwszej Cesarskiej Kategorii w celu poddania mnie Nigdy Niekonczącym Się Torturom. Blogosławiona Radość Nieogarnialnej Słuszności!".

-A to chuj z tej Uśmiechniętej Sprawiedliwości - powiedział Naku.

-Mógł ich przecież zasolic.

-No! Odbudowalibyśmy nasze zasoby prowiantowe.

-Trudno. Trzeba będzie zapolować.

Jonga skuliła się. Zabolalo strasznie, ale opanowała się i jeszcze mocniej wtuliła w przestrzeń między lodowatą ścianą a cuchnacym kubłem.

Dzięki nowym właściwościom swojego ciała umiała się skulić bardziej niż jakikolwiek człowiek. Bo człowieka już właściwie nie przypominała. Teraz zmieniła się nie tylko konsystencja ciała, ale także kształt. Wyglądała raczej jak klebowisko mokrych ścierek. Czyli coś, co jest bardzo na miejscu pomiędzy lodowatą ścianą a cuchnacym kubłem.

Kubel był pełen gówna. Było to czuć wyraźnie. Było też czuć wyraźnie, że jest to gówno rozpaczy. Gówno ludzi, których wewnątrz skatowano trucizną, gówno ludzi, którzy nie jedzą nic normalnego, a jeśli trawia, to tylko samych siebie. Gówno ludzi trawionych strachem, pełne krwi, żolci, kwasów żołądkowych.

Niektóre cele opróżniano z gówna, a właściwie wstawiano tam blaszane kubły, które służyły więzniom za kible. Nie robiono tego z litości dla więźniów, tylko po to, żeby osiągnąć maksymalną kumulację gówna w specjalnych pomieszczeniach. Używano go do różnych celów. Przede wszystkim jako nawozu podczas skomplikowanego procesu sadzenia drzewek w ciele żywego człowieka. Tacy skazanci byli czasem wykorzystywani dla celów dekoracyjnych. Nie dało się jednak też wykluczyć, że gówno w kubły było gównem ludzi plawionych w gównie lub żywionych gównem.

Bezreki karzeł, może były krasnolud, dotarł wreszcie do załomu

mur. Jeknal, spojrzal na kubel i znowu westchnal. Potem wykonal dziwny, jakby kopulacyjny ruch biodrami do przodu, wypychajac w ten sposob z pozbawionego guzikow rozporka imponujacych rozmiarow fujare. Odlal sie do kubla. Obficie obsikal sobie przy tym portki, ale sporo tez pocieklo do przepelnionego naczynia, bo kubel sie przelal i Jonga zorientowala sie, ze kleczy w kaluzy zoltobrunatnej mazi, ktorej dotyk piekl i swedzial.

Nastepnie karzel pochylil sie, wzial palak kubla w zeby, jeknal raz jeszcze, dzwignal naczynie i ochlapujac sobie bosc stopy, poszedl ze swoim ciezarem w strone wielkich metalowych drzwi, oswietlonych przez przykuta do sciany zywa pochodnie plci zenskiej. Drzwi byly ozdobnie kute w motyw przedstawiajacy bezglowe koty. Karzel postawil kubel na ziemi, wyprostowal sie i huknal lbem w jedna z kocich lap. Drzwi otworzyly sie i karzel zaczal przechodzic przez prog.

Zaczal, ale nie skonczyl. Jonga, ktora pelzla za nim cicho, wbila mu zdobyczny sztylet w plecy. Karzel, jak to on, jeknal. Potem przewrocil sie, ale nie umarl, tylko zaczal wydawac z siebie dziwne "uhu, uhu".

Domyslila sie, co sie stalo. Karzel musial miec zdeformowany kregoslup. Mial go tam, gdzie Jonga sie nie spodziewala. Ostrze nie przebilo mu zadnego z waznych narzadow, tylko zeslizgnelo sie po kosci.

Zabierala sie, zeby go dobic, kiedy nagle rzucilo sie na nia z wrzaskiem cos w mundurze straznika.

-Aaaaa!!! -ryknelo.

Jonga zdazyła się uchylic i strażnik z palka upadł na czworaki. Przelamując ból, Jonga uniosła się na kolana i skoczyła mężczyźnie na plecy, pakując mu leb wprost do kubła, który cały czas stał na progu.

Ohydny bulgot nie zakończył się cisza. Okrutnie tycząc, strażnik wyszarpnął głowę z gówna i stracił z siebie Jonge, która nie zdazyła wbic mu noza pod zebro. Kubel przewrócił się, a mężczyzna powstał. Stojąc na środku żoltej kaluzy, wydobył miecz i zaczął obracać się dookoła. Jego buciory rozgniatały z chrzestem gmerające w gównie robaczki.

Nie wyglądało to, jakby ją atakował. Raczej jakby próbował się bronic przed atakiem. Jakby nie widział, z której strony ten atak nadejdzie. Kiedy z oczu pociekła mu krew, Jonga zrozumiała.

Wypalilo mu oczy. Kwasy zawarte w chorym gównie przezarły mu galki oczne. Jonga zebrała sily, a następnie cisnela sztylet. Trafil prosto w gardło.

Wielkie ciało wpadło w żolta kaluze. Jonga popelzła dalej.

Dzięki swoim nowym zdolnościom udało jej się przepelznac pod następnymi drzwiami. Co prawda szpara była dosyc szeroka, ale normalny człowiek, nawet tak chudy jak ci, co stanowili wiekszosc ludności Rombu, nie mogłby się przedostac.

Za drzwiami od razu się skulila, bo uslyszala za soba niewyrazne meskie glosy.

-Ty, a posluchaj tego... On to... A... a ona... blagala o litosc!

-Hahahahaha!!! A posłuchaj tego... Przychodzi do celi... W te, tak... A ona co? Błaga o łaskę!

-Hahahahaha!!! Ale to jest jeszcze lepsze. W celi było... I trzysta... A ona skowitała i błagała o łaskę!

-Hahahahaha!!!

Mężczyźni nie zauważyli Jongi. A może zauważyli, ale się nie zorientowali. Po prostu spokojnie przeszli sobie obok czegoś, co wyglądało jak porzucony trup. Teraz nawet bardziej jak trup zwierzęcy niż ludzki, bo mrowki cały czas pracowały w ciele Jongi i ich dzieło postępowało naprzód.

Kiedy ochłonęła, zorientowała się, że jest w zupełnie innym miejscu niż te, w których dotąd była. Podłoga była tu wyłożona deskami. A do ścian przymocowano lalki ze świecznikami w miejsce rak.

Zza polotwartych drzwi na końcu korytarza dobiegaly dziwne odgłosy, jakby szczebiot wielu głosików. Jonga zajrzała przez nie ostrożnie.

W środku były krzesła ustawione w rzędy i coś w rodzaju sceny. Ściana za sceną wyłożona była czerwonym aksamitem, na którym widniały wielkie białe litery. Na scenie stały dzieci. Mała dziewczynka mówiła:

Więc niechaj Cesarz wielki nam wita

Dzięki któremu wszystko rozkwita

Niech go ucieszy nasz chor maluchów

Co zawsze beda wzorem posluchu

Niech go uciesza malutkie dziatki

Ktore dla niego przynosza kwiatki

Co go kochaja miloscia szczera

Ktora nalezy sie bohaterom

Bo choc wrog ostre, dlugie mial zeby

Nasz wielki Cesarz wnet go pognebil

I jego wielka, ogromna laska

Czyni nas wszystkich dziecmi Cesarstwa

I kazde z dzieci Cesarza kocha

Tak mocno kocha, ze czasem szlocha

Bowiem serduszko male niezmiernie

Silnie odczuwa wielkie wzruszenie

Chwali Cesarza za jego laske

Wierszem i piesnia, wierszem i wrzaskiem

Albowiem wielbic go maja mocno

Ci, co sa mali, ci, co dorosna...

I każdy swoje płuca wyteża

Aby wychwalać wielkiego meza

I zaden dowód zacnej wierności

Nie jest zbyt duży wobec wielkości

Naszego Pana, Władcy, Cesarza

Który nas wszystkich łaską obdarza

Więc my maluchy, poprzez te rymy

I przez śmierć naszą cię ucieszymy

Chcemy dla Ciebie tu umrzeć moc i

Witaj na naszej dziś egzekucji

Odgłos był straszny. Jonga skuliła się i przypadła do ściany, skrecając się w coś, co musiało wyglądać jak wiązka porzuconych, mocno zużytych biczów.

Słyszała już w życiu wszystkie możliwe wrzaski, jeki, skrzeki i skowyty, ten dźwięk był jednak najpotworniejszy ze wszystkich. Jak gdyby z człowieka zdarto nie tylko ubranie i skórę, ale w ogóle postać człowieka, wydobywając ze środka małe, ślepe, bezbronne zwierzątko. Zwierzątko zachowało nadal głos, ale wyrażało nim tylko zwierzęcy, nieskonczony ból i przerażenie.

-Błogosławiony Pan Cesarz! Błogosławiony Pan Cesarz! -  
skrzeczały inne, jeszcze bardziej nieludzkie głosy. Brzmiały tak,



jakby ktos wypalil im gardlo i teraz musialy wszystko artykulowac przez nos.

Zza drewnianych drzwi dobiegal potworny zaduch. W kazdej sali tortur czuc kal, mocz, pot, krew i surowe mieso. Nigdy jednak nie byl to zapach tak intensywny, tak slony jak tutaj.

Drzwi byly otwarte. Jonga zajrzala do srodka i zamarla.

Na malych machinkach tortur lezaly rozpiete zwierzatka - niewielkie psy, koty, nietoperze, kury i jaszczurki. Zadne z nich nie wydawalo juz zadnych odglosow, najwyrazniej byly zbyt umeczone. To, co Jonga slyszala, musialo byc jednym z ostatnich skowytow.

Darly sie za to papugi, nadziane odbytem na sterczace ze sciany metalowe konce, niczym kinkiety.

-Bogoslawiony Pan Cesarz, ktory laska niesmiertelnosci obdarza nawet najmniejsze i najbardziej bezrozumne stworzenia! - Darla sie, najwyrazniej dobrze wyuczona, jedna z nich.

-Bogoslawiony Pan Cesarz, ktory postanowil uodpornic na smierc nawet nas, najmniej wazne istoty! - skrzeczala druga.

Jakies zwierzatko, ktorego Jonga nie potrafila rozpoznać, moze dlatego, ze cale futro mialo zlepione skrzepami krwi, zaczelo wyc smutno:

-Urmultu huru kumutunu gungu! Umbumbu bubu bumbu bubu bubu! Ururukugu hukutunu pumpu! U bubu bubu bumbu bumbu bubu!

-Oj - powiedział mężczyzna z brodka, w długiej szarej szacie. - Teraz to chyba przesadzili.

Jonga zrozumiała swój błąd. Nie trzeba było przedostawać się do tej sali. To nie była dobra kryjówka. Zwabiła ją ta cisza. Wpełzła pod drzwiami i skuliła się pod jedną z ławek. A zaraz potem do sali weszli młodzi ludzie z panem w szarej szacie na czele.

Czekała na następny ruch tego człowieka. On na razie nie atakował jej i nie wszczynał alarmu.

-Proszę, żeby mi podrzucili jakiegoś zmasakrowanego - powiedział pan w szarej szacie do swoich młodych podopiecznych. - Ale tym razem przesadzili. Przecież teraz nie da się nawet rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. I nie wiem, czy przeżyje choćby najslabsza tortura ćwiczebna... Ale może to dobrze. Najslabszy uczeń powinien się wprawiać na najtrudniejszych przypadkach. Loppilainen!

-Tak jest, panie profesorze - powiedział Loppilainen.

-Kiedy skończymy wykład, ty storturujesz pomoc naukową według Progresywnej Sinusoidy Wzrostu Bólu z Wahaniem Endo-Normatywnymi.

-Poruczniku pedagogu, ja...

-Jakie wątpliwości? Wobec rozkazu?

-Nie, poruczniku pedagogu! Żadnych wątpliwości.

-No i dobrze. Mam nadzieję, że podczas meczarni będziesz się równie pewnie zachowywać. Bo jeżeli ta poczwara umrze albo

jesli bol choc na chwile bedzie slabszy, niz to wynika z Sinusoidy... To zrobimy ci dokladnie to, co zostalo zrobione tej istocie, tak ze bedziesz wygladal tak samo.

-Tak jest!

-Cala klasa ci to robi w ramach cwiczen pogladowych.

-Tak jest!!! - powiedziala chorem cala klasa, z wyrazna radoscia.

-Dobrze, ale najpierw praca domowa. Chodz no tu, Loppilainen, zobaczmy, czego sie nauczyles z jezyka cezarianskiego. Najpierw omowmy slowo "tung".

-Tak jest! Slowo "tung" oznacza "chleb". Ze slowem "tung" tworzymy nastepujace zlozenia. "Fong" znaczy oddychanie, "tung-fong" oznacza zadlawienie. "Pie" znaczy zycie, "tung-pie" oznacza plesn, zaplesnialosc, procesy rozkladowo-plesniowe, "Jou" znaczy "kochac, lubic", "tung-jou" oznacza Nikczemna Zbrodnie Sluzenia Cesarzowi Tylko Ze Wzgledu na Korzysci Materialne! "Laj" znaczy isc, "tung-laj" oznacza Nikczemna Zbrodnie Migracji Zarobkowej! "Fu" znaczy grac, "tung-fu" oznacza spekulacje zywnosciowa, a dokladnie, przepraszam, Drugorzedna, Ale Jeszcze Bardziej Nikczemna Przez Swoja Malosc Zbrodnie Spekulacji Zywnosciowej.

-Masz szczescie, ze sie poprawiles... - zamruczal pedagog.

-"Kiai" znaczy "krzyczec", "tung-kiai" oznacza Nikczemna Zbrodnie Niewdziecznego Ludu Osmielajacego Sie Skarzyc Na Rzekomo Zbyt Duzy Umiar w kwestii pozywienia. "Zen" znaczy "czlowiek", "tung-zen" - ludozerstwo...

-Nikczemna Zbrodnie?... - odpowiedział pedagog, ale Loppilainen nie dał się złapać w pułapkę.

-Nie, poruczniku pedagoga, "tung-zen" nie znaczy Nikczemnej Zbrodni Niekoncesjonowanego Ludozerstwa, tylko ludozerstwo w każdej, także dozwolonej postaci "Jue" znaczy "muzyka", a "tung-jue" - burczenie w brzuchu podczas długotrwałego Umiaru w kwestii pozywienia. "Cing" znaczy "księga", "tung-cing" oznacza wykaz obywateli i przysługująca im ilość pozywienia, która mogą zjeść dziennie, nie łamiać Wspaniałego Cesarskiego Edyktu o Skromności i Umiarze. "Kung" znaczy "wspólnota", "tung-kung" - Ohydna Zbrodnie Oddawania Pozywienia Tym, Którym Cesarskie Prawa Nakazały Specjalny Umiar. "Paj" znaczy "polować", a "tung-paj" - zabijanie ludzi dla pieniędzy, zarówno w przypadku Drugorzędnej, Ale Jeszcze Bardziej Nikczemnej Przez Swoją Małą Zbrodni Morderstwa, jak i w przypadku Koncesjonowanego Zabijania Zbiegłych Przestępców. "Hou" znaczy "woda", a "tung-hou" - przepijanie pieniędzy, które należałoby wydać na zdobycie pozywienia. "Men" znaczy "grupa, większa ilość", "tung-men" - zwiększanie ilości pozywienia poprzez dodawanie do niego elementów neutralnych, na przykład trocin do chleba. Nazwa obejmuje zarówno Drugorzędna, Ale Jeszcze Bardziej Nikczemna Przez Swoją Małą Zbrodni Falszowania Żywności, jak i przypadki, w których zwiększanie ilości pozywienia odbywa się za Laskawym i Przenikliwym Zezwoleniem Cesarza. "Ko" znaczy mądrość, a "tung-ko" - przyziemny spryt, niegodny sług Cesarza! "Sy" znaczy "piękno", a "tung-sy" - halucynacje będące wynikiem długotrwałego Umiaru w kwestii pozywienia. "Mo" znaczy "kolor", a "tung-mo" - małe malowidła przedstawiające chleb, którymi sycimy nasz umysł, aby łatwiej przetrwać okres długotrwałego

Umiaru.

-Dobra, starczy. Przejdźmy do torturowania pomocy naukowej...  
Ale gdzie ona się podziała?!

-A, jeszcze jedno, poruczniku pedagogu, byłbym zapomnial.  
"Pu" znaczy "zle", a "tung-pu" oznacza nieuniknione cierpienia,  
które są naszym chlebem codziennym w służbie Cesarza i  
których chcemy doświadczać! Dlatego zwyczajowo przyjęliśmy  
określenie "tung-pu" za cezariński ekwiwalent wulgarnego i  
pospolitego słowa "dobrze, dobro". Niech żyje Chlebowe Zło!  
Niech żyje Chlebowe Złe!

-Złe.

-Bardzo złe.

-Bima powiedziałby: "Gdzież to znowu doprowadził nas nasz  
nieoceniony dowódca?".

-Bima.

-Wybaczcie - powiedział Agni. - Widzicie, co się stało. To było  
trudne do przewidzenia.

Krasnoludy po prostu szły sobie przez las, kiedy nagle drzewa  
się skończyły. Stały jak wryte, bo znalazły się na skraju  
wielkiego jarmarku. Ludzie handlowali, przeważnie zgniła rzepa.  
Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że wszystko  
odbywało się w absolutnej ciszy. I to właśnie zmyliło krasnoludy.

-Lepiej nic nie mówmy - szepnął Agni, wycofując się z innymi w  
gąszcz. Zaczeli znowu rozmawiać dopiero po dłuższej chwili, gdy

bezpiecznie zagrzebali się w kepach ciemnozielonego trupiogłowu.

-Nie mają języków. Normalna.

-Nie tylko. Przeplukano im także gardła kwasem, żeby nie chciało im się pohukiwać. Zwykle bezjęzykowi wydają z siebie takie gardłowe pohukiwania.

-To jak oni jedzą?

-Jak to jak? Z bólem.

-Zauważyliście, że nawet jak chodzą, to nie tupią?

-Dlaczego?

-Bo mają zmasakrowane pięty. Nadcięto im je i w rany posadzano konskie włosie, tak żeby się nie goiły. Teraz mogą chodzić wyłącznie na palcach.

-A widziałeś ich łokcie?

-Tak. Łokcie i kolana też im zmasakrowano w taki sposób, żeby poparzona i opuchnięta skóra stworzyła wielowarstwowa poduszczone, miękka od ropy. W ten sposób, gdy coś potrąca, to prawie bez hałasu. No i raczej starają się nie potrącać.

-I po co to wszystko?

-Żeby wycwiczyć się w cieniu ciszy.

-Zwariowałem, ludzie, zwariowałem!!! - zawył coś od strony targu.

-No, ten sie nie cwiczy - mruknal Saha.

-Jednak jest wsrod nich jakis mowiacy.

-Jakis przybysz z zewnatrz.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!! Oj, jak zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-Chodźmy popatrzec - powiedzial Saha.

-Ty tez chyba zwariowales! - syknal Ardzu.

-Tylko z krzakow... - poparl Sahe Naku.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-Chyba nie boimy sie kalek, ktore nie moga normalnie stac na nogach i boja sie cokolwiek potracic lokciem.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-Doniosa, ze nas widzieli.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-Po pierwsze, nie zobacza nas w krzakach. Po drugie, nawet jesli, to czym mieliby doniesc? Odcietymi jezykami? Poparzonymi gardlami? - przekonywal Saha.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-Na pismie doniosa. Na pewno ktos tam umie pisac.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-No to sie ich zabije.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-Popatrzymy tylko z krzakow. Bedziemy dobrze ukryci... Przeciez musimy sie rozeznac, co to za osada, jak duza... Musimy jakos wyminac wszystkie miejsca, w ktorych mogliby pojawic sie ludzie.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-I dlatego mamy isc tam, gdzie jest ich pelno?

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!!

-Musimy zobaczyc, jak duze jest to miejsce, czy sa tam jakies drogi, z ktorej strony nadchodza ludzie i w ktora odchodza... I czy nie ma tam czegos, co mozna by zabrac.

-O co to, to nie. Zadnego ryzyka - zdecydowal Agni. - Niczego nie zabieramy, nie wdajemy sie w zadne awantury. Podkradamy sie tylko i patrzymy z krzakow. Nikt nie wlazi na targ.

-Zwariowalem, ludzie, zwariowalem!!! - krzyczal chudy, polnagi mezczyzna, o skorze pokrytej mnostwem malutkich, sinawych babli. - Patrzcie, jak zwariowalem!!!

-On zwariowal - przytakiwal polglosem malutki, jednoreki chlopczyk o twarzy staruszka.

-Patrzcie sami - zawyl pokryty bablami chudzielec i wzial do reki wielka maczete o szerokim ostrzu. Druga reke polozyl na pienku.



- Uhaaaa!!!

Ciach! Maczeta spadła ze swistem, odcinając reke od lokcia. Przedramie z drgająca konwulsyjnie dlonia spadło na piasek. Palce odciętej reki przez chwile zaciskały się i rozkurczały, aż nagle splotły się w znak figi. Na piasek upadł też sam kuglarz, który zemdlął z bólu. Chłopczyk o twarzy staruszka rzucił się ku mężczyźnie i z dużą wprawą obwiązał mu kikut ciemną szmata. Pomagał sobie przy tym zębami, mimo że szmata niemilosierdzie cuchnęła. Najwyraźniej przesycona była krwią nietoperzyków wodnych, która, mimo że używana jako środek przeciwko gniciu, sama już zgnila. Mogła za długo być na tej szmacie.

Kiedy rana była już obwiązana, chłopczyk ocucił mężczyznę kilkoma uderzeniami w twarz, a następnie zdjął z głowy sztywny odłoju berecik i zaczął obchodzić z nim widzów, najwyraźniej oczekując na datki. Nikt jednak nie rzucił mu najdrobniejszej monety. Włosy miał zjezione, jakby permanentnym przestrawem.

-Dobrze - wychrypiał chudy kuglarz, przykucnął dziwnie i położył na pienku prawa nogę. Zamachnął się maczetą, wyciągając kikut w drugą stronę, najwyraźniej w celu utrzymania równowagi w osobliwej pozycji.

Ciach! Na pienku została odcięta stopa. Chłopiec z tą samą wprawą co poprzednio obandażował ranę, ocucił mężczyznę, pomógł mu się podnieść i oprzeć na stojącej obok beczce. Potem obszedł widzów z berecikiem. Znowu bezskutecznie.

-A niech was zezre Glista Plemienia, niedobre ludzie z Malego Farsitan - wykrzywił usta ciężko dyszący kuglarz, podskakując na

jednej nodze. - Niech was zezre i wysra. Myślałem, że przynajmniej w ten sposób będę mógł się najść do syta.

-I tak będziesz mógł - powiedział chłopczyk basem, wskazując stopę na piasku i rękę na piasku.

-Moja ręka mam jeszcze?

-Mojej się nie brzydziles - przypomniał malec, pochylając się nad ochlapami. Nagle zorientował się, że jest otoczony przez niemych. Ich ręce wysuwały się po rękę i stopę w różnych pokretnych, osobliwie delikatnych próbach pozyskania mięsa. Najwyraźniej bali się chłopca zaatakować, a nawet potrącić.

-Poszli won! - ryknął basem dzieciak. - Bo popchnę.

Ruchy rak jednak nie ustawały, robiły się tylko coraz bardziej zawile, jak gdyby niemi uprawiali jakiś egzotyczny balet. W końcu dziesiątki palców zaczęły szturchać chłopca pod zebro.

-Ej! To laskocze! Laskocze! - zaczął zwijać się ze śmiechu malec, nie puszczając ręki i stopy. - Przestancie! Przestancie! Przestancie!!! Tato!!!

-Przestancie!!! - zawołał kuglarz, ale jeden z palców leciutko go popchnął. Beznogi i bezręki był bezradny. Zamachał tylko kikutem, a potem przewrócił się na piach.

-Przestancie!!! Przesta!!!... - wylaskotany chłopak.

Niemi jednak nie przestawali. Kiedy w końcu wyszarpnęli mu ochlapę ojca z raka, dzieciak leżał nieruchomo na piasku, a z ust sterczał mu kawałek mięsa, cały we krwi i różowej pianie.

Najwyraźniej dzieciak odgryzł sobie język i teraz też był niemy.  
Jeśli w ogóle żywy.

Jeden z niemych, którzy nie zlapali się ani na rękę, ani na nogę, pochylał się, wyjął z ust chłopca język i natychmiast pozarił go na surowo. Pozostali suneli w stronę kuglarza, który leżał na piasku i miotał się jak ryba.

-A to co znowu?

-To? Tutaj musiał być port przeladunkowy.

-Aha. A te gnilce zanurzone w wodzie?

-Te przykute do pali od mola?

-Tak.

-To była część oprzyrządowania portu.

-To znaczy?

-Goście w barkach podawali im pakunki i skrzynie, a oni podawali je ludziom stojącym na molo. To dobry system, upraszcza i efektywizuje przeladunek o jakieś dwanaście procent. Ludzie na łodziach nie muszą się rozmachiwać ani wychylać, żeby dosięgnąć ładunkiem mola. Wszystko idzie szybciej. Mniej ładunków się niszczy, bo nie zdarza się, żeby jakiś ładunek został zbyt mocno rzucony na pomost.

-Aha. A oni byli niewolnikami. To znaczy więźniami.

-Nie. To byli funkcjonariusze Pracowitej i Zaradnej Cesarskiej

Sluzby Przeladunkowej.

-Ale za cos ich tak przykuli.

-Nie. Oni sami poprosili, zeby ich tak przykuc.

-Dlaczego?

-Juz ci mowilem. Dla usprawnienia przeladunku. Sami wymyslili ten system i postanowili go wyprobowac.

-No dobrze, to dlaczego ich tu zostawili, kiedy port przestal dzialac?

-O to tez sami poprosili. Chcieli tu zostac jako zywe, chociaz w tej chwili juz niezywe swiadectwo swojej idei maksymalnej pracowitosci i zaradnosci w sluzbie Cesarza.

-A nie potraktowano tego jako cywilnej dezercji?

-Nie, bo oni nie chcieli umrzec. Chcieli tu tkwic i spiewac: "Zaradnosc, zaradnosc!". Raz na dwa dni miala podplywac lodka z kotlem gotowanego jeczmienia i karmic ich lyzka, ale wiecie, jak to jest u ludzi z transportami zywnosci...

-Nie dojezdza.

-Wlasnie. Karmiciel pozeral po drodze caly jeczmiem. Po opuszczeniu portu natychmiast zapomniano o zaradnych i pracowitych funkcjonariuszach, bo wykreslono ich z rejestru Czynnych Pokornych Slug Najwyzszej Slusznosci, a przepisano do rejestru Dziel Sztuki, Propagandy i Pomnikow Wielkosc Cesarzskiej. Dlatego ten czlowiek mogl spokojnie przyplywac tu z

pustym kotlem i z pełnym brzuchem, żeby dreczyć przykutych.

-Dreczyć? Jak dreczyć?

-Jak to u ludzi, idiotycznie. Udawał, że ich nakarmi, a potem pokazywał im pusty kocioł. Albo głaskał się po brzuchu. Ale to też przyspieszyło konanie. Po tygodniu nie było ani jednego żywego.

-A dlaczego oni wszyscy jeszcze się nie rozpadli?

-Nacierali się smołą i tłuszczem. To pomaga przy pracy w wodzie, chroni przed chłodem, przed opuchlizną. I robili to tak długo, że aż skóra im przesiąknęła tymi substancjami, w pewnym sensie zaimpregnowała się i uodporniła na gnicie. Wygnili w środku, ale na zewnątrz pozostała twarda forma ze zeszywniałej skóry.

-Skąd ty to wszystko wiesz?

-Księgowałem ten jeczmiem. I te smole - powiedział Agni.

-Czy my będziemy musieli przeprować się przez tę rzekę?

-Nie. Na szczęście nie.

-Na szczęście.

-Ja też mam dość rzek.

-Czyli idziemy wzdłuż?

-Tak, kryjąc się w tych zarosłach.

-Co to za drzewka?

-Typowa roslinnosc wiejska - zaczal wyjasniac Naku, ktory najlepiej znal sie na przyrodzie. - Tak zwany zgniotokwiat. Wiesniacy tak go nazywaja, bo ksztalt kwiatu kojarzy im sie z pewnym narzedziem, pospolicie uzywanym podczas Kazni Wzruszajacej Lagodnosc. A tutaj jest zracik... Lepiej go nie dotykac, z jego lisci chlopi wydobywaja pewna bardzo pozyteczna substancje. Wystarczy posmarowac cialo, zeby przezarlo do kosci. Zreszta kosc tez. W stanie surowym zracik jest mniej zracy, ale tez radze go nie dotykac. To jest korbaczyk, nazwany tak ze wzgledu na forme lisci. Mieczorost, nazwany tak ze wzgledu na forme pedow. Rozgodrzew albo chlostun, nazwany tak ze wzgledu na zastosowanie witek. Silnojad, nazwany tak bynajmniej nie dlatego, ze jadanie go dawaloby sile. Wloczen, z jego mlodych, cienkich pni wyrabia sie najlepsze wlocznie, kopie i lance. Ranoklad, nazywany tak ze wzgledu na oklady, jakie z jego lisci robi sie na rany. Wydatnie zwiekszaja bol, jeszcze lepiej niz sol i pieprz. Sa lepsze od soli i pieprzu takze pod tym wzgledem, ze nie maja zadnego dzialania odkazajacego. Skurczylyko, doskonale, aby z jego pedow robic peta dla niewolnikow, jest tez swietnym dla tychze niewolnikow narzedziem kary. Wystarczy polac je woda. Schnac, zaczyna sie kurczyc, a przy tym miazdzy niewolnikowi szyje, nadgarstki i wszystkie inne miejsca, w ktorych ludzkie scierwo moze byc spetane. I jeszcze... slodosliw.

-Ten mi tutaj jakos nie pasuje.

-Ma owoce o wybornym zapachu.

-I pewnie smaku.

-O tym nic nie wiadomo, bo kazdy, kto go zjadl, nie mial czasu, zeby opowiedziec o wrazeniach.

-A to, co to jest to? I to?

-To? Nie wiem. Nie znam tych roslin. Zastosowanie nieznane. Albo nie tak powszechne, jak tamtych.

-Sluszenie. Jak roslina nie ma zastosowania, to po cholere jej imie?

-Tatusiu mammo... Tatusiu mammo...

-Przeciez jestem przy tobie.

-Czuje, ze umre...

-O nie, nie umrzesz tak latwo.

-Jezeli dzisiaj pojde na miazdzyk, to umre...

-Aha. Czyli corus synecek najbardziej boi sie miazdzyka. Dziekuje ci za pomoc, bo w ten sposob wiem, co ci zaaplikowac. Oczywiscie bedzie to podwojna porcja miazdzyka.

-Taaak!!!

-Hm... Cos za szybko krzyknales "taaak!!!". Nie zabrzmialo to jak "nieee", tylko jak "taaak!!!". Cos za szybko krzyknales.

-Krzyknelam...

-Krzyknales, bo probujesz mnie oszukac.

-Nie! Ja naprawde chce torturek! Ja juz nie oszukuje! Dlatego moje "taaak!!!" to juz jest prawdziwe "taaak!!!", a nie przebrane "nieeee!!!".

-Znowu sklamales. Gdybys naprawde chcial torturek, tobys nie prosil mnie o oszczedzenie ci miazdzyka. Prawda jest inna. Miazdzyka boisz sie najmniej i chciales mnie sprowokowac, zebym cie posylal jak najczesciej na miazdzyk.

-Tatusiu mammo... Wybacz... Ty wszystkiego umiesz sie domyslic.

-Nie musze. Przeciez znam wszystkie twoje mysli. Teraz tez od poczatku wiedzialem, o co ci chodzi.

-To dlaczego udawalas...

-Zeby zrobic ci nadzieje. Zebys teraz cierpial bardziej. Dobra, wiem, ze najbardziej boisz sie tak zwanej miesopustki, prawda?

-Taaak!!!

-O, teraz to bylo porzadne "taaak!!!" prawdziwego rombowicza! Od dzisiaj miesopustka bez przerwy, az do granicy smierci.

-Tatusiu mammo... Ale jesli ja... Jesli teraz bedzie az tak strasznie bolalo...

-To co? To co w tym bedzie takiego dziwnego?

-Nie, niedziwnego... Mowiles, ze im wieksza swiadomosc, im wiecej wiem, tym wiecej trzeba cierpiec... To powinno tez dzialac w druga strone...



-Chcesz sie czegos dowiedziec.

-Taaak!!!

-Chcesz sie dowiedziec, czym jest Swiety Obraz.

-Taaak!!!

-Co to, do kurwy elfki, jest?

-Ani pole, ani laka, ani las.

-Nie mam bladego pojecia.

-Ja tez nie mam - przyznal sie w koncu Agni - ale sadzac po zapachu, zbliżamy sie do miasta.

Weszli ostrożnie na osobliwy teren. Wszędzie powiewaly poszarpane plachty czegos, co wygladalo jak zgnile przescieradlo. Krzaki silnojadu i szarostrzepu rosly pogrupowane w idealne kwadraty. Gdy Agni sie przyjrzał, zrozumial dlaczego. Caly teren pokryty byl kwadratowymi, drewnianymi ramami, nieraz rzezbionymi lub ze sladami zlocen. Krzewy rosly w nich, przebijajac sie do gory przez resztki plotna. Ramy chrzescily pod stopami, pekaly, gdzieniegdzie spietrzaly sie w cale stosy drewnianych kwadratow. Nagle jedna z placht wyladowala na bucie Agniego, wiatr owinal mu ja wokol cholewy. Wszystkie krasnoludy przyjrzaly sie zatartemu fragmentowi malowidla.

-Wysypisko obrazow - powiedzial Naku.

-Swietych Obrazow - stwierdzil Ardzu. - Tak zwanych Swietych Obrazow.

-To ma być niby ten Obraz, co przedstawia powstanie ludzi?

-Tak.

-To gówno prawda, oczywiście - stwierdził Naku. - Po co miałby być Święty Obraz przedstawiający powstanie ludzi, jak nie ma obrazu przedstawiającego powstanie krasnoludów.

-W naszym przypadku to powinna raczej być rzeźba. Z kamienia.

-Jasne, że z kamienia.

-Nie - uciął nagle Agni. - Nie, ta cała historia z Obrazem nie jest taka głupia.

-Z całym szacunkiem - powiedział Naku - ale pieprzysz pan, panie dowodco.

-Nie, pomyślcie przecież... Jeżeli na tym Obrazie jest pokazane, jak powstały ludzie, to pewnie można z niego też się domysleć, jak się ich pozbyć, wszystkich naraz. Pewnie dlatego nie chcą go publicznie pokazywać. A pomyślcie, gdyby się tylko dowiedzieć...

-Ha! - zaśmiał się Ardzu. - Kocham naszego dowodce.

-Bima powiedziałby: jak go kochasz, to idźcie w krzaki.

-Bima.

-Bima sam był niezły numer. Wiesz, co on wyprawiał na kopalni z tamtym drugim czarnulkiem...

-Ale co ma zrobić biedny krasnolud, gdy nie ma kogo gwałcić?

-No nie, to perwersja jest. Przecież krasnolud powstał po to, żeby walic konia. Krasnolud to jest byt, taki jak kamień i sam sobie wystarcza. Nikomu się nie śniło, że można inaczej, póki nie pojawiły się elfy.

-Jak ja się pojawiłem, to elfy już były.

-I były elfki.

-No. I można było taką elfkę złapać...

-Albo elfa. Jak się go gwałciło, to kobieciał. Chyba że naprawdę się wkurwił.

-Jak się wkurwił, to się nie skurwił.

-Zaraz. - Ardzu wrócił do poprzedniego tematu, który najwyraźniej frapował go bardziej... - Nie wiem, czy z Obrazu można się dowiedzieć, jak pozbyć się ludzi. Przecież podobno jest tyle wersji tego bohomażu...

-Tak - przyznał Agni. - I właśnie o tym myśle. Myśle, dlaczego wyrzucili te Obrazy do śmieci.

-Może się zużyły?

-Obraz przechowywany w suchej drewnianej świątyni i prawie zawsze przykryty zasłoną nie zużywa się tak łatwo. Może to były te wersje Obrazu, które ktoś kazał zniszczyć.

-Czyli te prawdziwe!

-Niemożliwe - stwierdził Ardzu po namyśle. - Gdyby je chcieli

zniszczyć, toby je spalili.

-Sa slady spalenizny - zauwazyl Saha.

-Bo tez pewnie i probowali je spalic. Ale wiesz, jak oni wszystko robia. Podpalili z wierzchu i odjechali. A potem spadl deszcz. Nie wrocili, zeby poprawic, bo to by oznaczalo przyznanie, ze nie wykonali dobrze rozkazu za pierwszym razem, czyli tortury, smiertelne pieklo, Romb...

-To moze - powiedzial Ardzu. - Przeszukajmy teren! Obejrzyjmy te wszystkie plachty! Dowiemy sie wreszcie, co ten bohomas przedstawia!

-Tak... Mozna to zrobic - Agni zastanawial sie przez chwile. - Moze i warto. Ale ryzykujemy, bo jestesmy na otwartym terenie. Nie dluzej niz pol godziny i tylko na czworakach.

-Masz cos?

-To wyglada jak zab.

-To wyglada jak fiut.

-To wyglada jak wszystko. To moze byc wszystko. Przeciez to kompletnie rozmazane jest od deszczu.

-A to?

-Jakby ucho.

-Takie wielkie? Przeciez na obrazie jest czlowiek naturalnej wielkosci.

-Podobno. A bo wiesz, co tam naprawdę jest?

-To nie może być ucho, bo u mnie jest brzuch. I ten brzuch jest na pewno naturalnej wielkości. Człowiek to potwór, ale nawet on nie ma uszu jak ćwierć brzucha.

-Zauważyliście, że to ucho nie jest jakies normalne?

-A to jakby ryj.

-Nie, z ryja takie rzeczy nie wystają.

-No, to zależy, co się do niego wsadzi. Powiedziałby Bima.

-Bima.

-Bima to różne rzeczy do gęby wsadzał. Ale nie sobie!

-Bima był zabawowy zawodnik.

-To co teraz?

-Gówno mamy. To się kupy nie trzyma.

-Jakbysmy mieli dwa obrazy. Jeden przedstawia człowieka normalnej wielkości, a drugi olbrzyma.

-Może były dwie wersje, mała i duża?

-Wszystkie ramy są tej samej wielkości.

-Z tych strzepów lamigłowi nie ułożymy.

-Nie da rady.

-Wszystko rozmyte.

-Przegnile.

-Gowno.

-Nie, chłopaki. Ludzi trzeba będzie załatwić inaczej.

-Normalnym, krasnoludzkim sposobem.

-Obraz... No więc, mój mały klamczuszek chce wiedzieć o Obrazie.

-Taaak!!!

-To było szczere "taaak!!!". Ciagle słysze różnice między szczerym a nieszczerym "taaak!!!". I to nie tylko w myślach, ale także w twoim głosie. A może porozmawiamy w myślach?

-Blagam, nie... Pozwól mi krzyczeć... W ten sposób bardziej eksploruje się cierpienie... Bardziej świadomie...

-Chcesz powiedzieć, że łatwiej się je znosi? Właśnie dlatego powinienem zakazać ci krzyczeć.

-Też bym krzyczała...

-A wtedy musiałabym cię dodatkowo karać...

-A ja bym jeszcze bardziej krzyczała...

-To jest myśl! No właśnie. Wiedza o Obrazie jest czymś, co zwiększa świadomość do tego stopnia, że zwykła miesopustka, choćby jak najintensywniej stosowana, nie wystarczy, by zrównoważyć świadomość bólem... Tak, powiem ci o Obrazie, ale wprowadzimy zasadę zakazu krzyku. I kara za wydawanie jakichkolwiek odgłosów - choćby to był tylko chrzest twoich stawów - będzie przyzeganie.

-Taaak!!!

-Znow ta nieszczerosc w twoim glosie, w twoich myslach... Kiedy ona wreszcie zniknie?

-A czy ona w ogole kiedys znika? Czy znikla ci u jakiegos skazanca?

-Szczerosc nie. Ale istnieje taka granica meki, za ktora wszystkie zachowania staja mechaniczne. Z punktu widzenia moralnego sa wiec obojetne. A to juz lepsze niz nieszczerosc, a w kazdym razie mniej zle. Ale wolisz, zebym opowiedziala ci o tym... Czy o Obrazie?

-O Obrazie! Tak, o Obrazie!

-Obraz... Obraz, synku coreczko, jest potezna bronia. Powiedz mi, jak sadzisz, czy ja jestem nieomylna?

-Taaak!!!

-O, zaczynam slyszec cos ciekawego w glosie i w myslach. To jeszcze nie bylo szczere, chociaz juz nie nieszczerosc. Ale nie bylo tez mechaniczne. Krzyknelas to z dezorientacja. Cos

umeczonego w tobie pomyslało: "A może on rzeczywiście jest nieomylny?".

-Taaak!!!

-Dobrze, dobrze... Chociaż miał być zakaz krzyczenia...

-Taaak!!!

-Ale to po opowieści. Zakaz krzyczenia, a szerzej, wydawania jakichkolwiek odgłosów, jest rzeczą pyszną. Będzie mógł cię pytać o różne rzeczy. Odpowiedź na pytanie będzie karana przyzeganiem, brak odpowiedzi - scieraniem - za pomocą stalowego gładzika - koci małego palca, uprzednio obnazonej z miesa.

-Taaak!!!

-Odpowiedź w myślach nie będzie wystarczającym wybiegiem, aby uniknąć obu z tych kar. Szacunek dla Cesarza wymaga głośnego mówienia!

-Taaak!!!

-No dobrze, mówiliśmy o Obrazie. Obraz jest potężną bronią. I w związku z tym pytałam cię, czy myślisz, że jestem nieomylna.

-Taaak!!!

-Cicho, przecież teraz cię nie pytam. Już mi odpowiedziałas. Uważasz, że jestem nieomylna. Być może, ale wyobraź sobie, że ja tak nie uważam. Chociaż istnieje od zawsze, chociaż moje doświadczenie i moja wiedza są nieskończone... Mimo to



zakładam, że nawet ja mogę się mylić. Robię to, co moja nieskończona wiedza i nieskończone doświadczenie wskazują mi jako nieskończenie słuszne, ale uznaję, że nawet one mogą być nieskończonym błędem. Bo nieomylnie stwierdzić, że ktoś jest nieomylny, można jedynie w przypadku Człowieka-Dobro. Ale jego nie ma, jestem tylko ja.

-Taaak!!!

-Co, chcesz się wykrzyknąć, zanim przyjdzie zakaz? Nie uda ci się. Choćbyś płuć wykrzykiwał, nie uda ci się teraz wykrzyknąć tych krzyków, które i tak przyjdą podczas tortur. Których nie zdołasz powstrzymać. Które spowodują tylko coraz gorsze i gorsze udreczenie, bez końca... No, pewnie nie możesz się doczekać, co?

-Taaak!!!

-Znowu nieszczerosc. A już myślałem, że robisz postępy, synku coreczko. No to, w takim razie szybko opowiem ci wszystko, żeby zaraz, już bez żadnych opóźnień, przystąpić do wychowywania cie...

-Taaak!!!

-Lepiej nie pogarszaj swojej sytuacji tymi fałszywymi okrzykami. No więc Obraz to furtka, jaka zostawiłem ludziom. Jeżeli jest jakaś możliwość, że się mylę, to musi też być jakaś szansa, że ludzie obalą moją władzę. Oczywiście, jest to szansa nieskończenie mała. Znam ich wszystkie myśli, wiem, co planują, tak że żaden z nich nie ujdzie kary... Zawsze też mogę sam się napić moim własnym mlekiem, co też regularnie robię, dlatego

gdyby nawet doszło do walki wręcz, potrzeba byłoby dziesięciu wojowników lub dwudziestu luczników, żeby można było spróbować zamachu. A ja i tak wyczuje ich myśli, zanim jeszcze się zbliżą. Ja słyszę wszystkie myśli moich poddanych. Zawsze.

Chyba że myślisz o czymś innym, już miał pomysłu Hengist, ale się powstrzymał i natychmiast zapomniał o tej niedosłej myśli. On sam nadal czuł to, co nie opuszczało go od pierwszych dni w Rombie. Czuł, że powoli, ale nieustannie zbliża się coś, co bardzo Cesarza nie lubi. Wiedział, że wciąż musi Cesarza maksymalnie rozpraszać, zarówno wrzaskami, jak i pytaniami, tak jak to robił do tej pory. I wiedział, że nie wolno mu ani przez chwilę pomysłu o tym, co się zbliża.

-Szansa każdego zamachowca jest nieskonczenie mała... Ale tak samo nieskonczenie mała jest szansa, że moje nieskonczone doświadczenie i wiedza się myliły. Niemniej jednak postanowiłem stworzyć coś, co może skłonić ludzi do buntu. Tak, aby dać im tę nieskonczenie małą szansę. Więc moja córko syneczku... A właściwie syneczku syneczku, bo widzę, że pod wpływem tortur zmeźniales... To znaczy znowu stałeś się mężczyzną, tylko mężczyzną...

-Taaak!!!

-To normalne, ból uruchamia gniew, pragnienie agresji, czyli mechanizmy męskie... Dobrze. Na Świętym Obrazie znajduje się ciało nagiego, torturowanego człowieka, którego brzuch jest tak zmasakrowany, tak pocięty, że została na nim wycięta moja twarz. Bardzo dokładnie i realistycznie, jakby to nie był skalpel kate, tylko ołówek mistrza. W wycięciach imitujących moje oczy widac nawet sine kawałki wątroby, sine i sfioletowiałe, a ja, jak

widzisz, mam fiołkowe oczy...

-Taaak!!!

-Faldy oberzniętej skóry stercza w dwóch miejscach na boki w taki sposób, że wyglądają dokładnie jak uszy, i to moje, spiczaste. Usta wykrzywione są w szerokim uśmiechu i niczym szyderczy jezior, stercza z nich flaki człowieka, zakończone zmijami. Wyobraz sobie, że nawet mając tak dokładną wskazówkę, ludzie nie osmielili się zbuntować! Od razu zaczęły się pojawiać upiększone, zlagodzone wersje Obrazu, które szybko uznano za prawdziwe. Kapłani, którzy mieli czcić obraz, zaczęli go ukrywać, a następnie fałszować. W końcu tych, co posiadali jakies bardziej zbliżone do prawdziwości wersje obrazu, zaczęto przesładować jako heretyków... A ja nie ingerowałem. Obraz miał działać sam. Obraz to było to nieskonczenie małe minimum samodzielności, jakie mogłem dać ludziom. W tym sensie rzeczywiście powinien być dla ludzi święty. - Taaak!!!

-Dobrze. Przejdźmy teraz do tortur.

-Taaak!!! Ale... ale mam jedna malenka prośbę, tatusiu mamo.

-Tak, syneczku?

-Bądź ze mną, kiedy będę torturowany! Trzymaj mnie za rękę... Ty jesteś taka wrażliwa, ty się tak we wszystko wczuwasz... Wczuj się trochę w moje tortury!

-Oczywiście, synku. Ja się wczuwam we wszystko. Przede wszystkim w tortury. Ja w nich uczestniczę. Nawet sam nie wiesz, jak.

-No, panowie... To już stolica.

-O, kurwa...

Wspaniałe Cesarskie Miasto Pierwszej Kategorii wyglądało jak jeden, ale za to gigantyczny dom. Tyle że bez okien. Jego szare mury rozciągały się szeroko wśród błotnistych pól, ale sięgały niemal równie wysoko.

A jeszcze bardziej niż dom stolica przypominała ogromny kamienny powóz. Było tak ze względu na gigantyczne posagi, wysokości dorównujące murom i stojące przed nimi w szczerym polu. Były połączone z wiezami na murach długimi lancuchami i pochylały się do przodu. Wyglądało to tak, jak gdyby posagi ciągnęły całe miasto do przodu za pomocą tych lancuchów.

-Kto to jest ta usmiechnięta baba?

-To uosobienie Radości Posłuszeństwa w Obliczu Boli.

-Aha. To chyba nie chce wiedzieć, kim jest ten przerażony wasacz.

-To Pochwała Słusznego Strachu w Obliczu Wspaniałości Cesarskiej. Na jego piersi jest tablica, widzisz... Napisane jest na niej: "Gdyby nie to, że Wszechpotężna i Niezasłużona przez nas Laska Cesarska raczy chcieć naszego życia, każdy poddany wobec Jasniejącego Oblicza Cesarza winien natychmiast umrzeć ze strachu".

-Co ty, widzisz runy z tej odległości?

-Nie. Słyszałem o tym napisie. Ja tu nigdy nie byłem.

-Aha - powiedział Ardzu. - Myślałem, że będziesz wiedział, jak nas wprowadzić.

-To, że nie byłem, nie znaczy, że nie wiem. Gdy się ukrywałem, pracowałem przez jakiś czas jako logistyk w Kancelarii Zaopatrzenia. Wiem trochę o transportach i o obyczajach kwatermistrzostwa. I o tym, jakie zamówienia składa Cesarska Straz Miejska Pierwszej Kategorii.

-Tak? To co według tej wiedzy powinniśmy teraz zrobić?

-Uważać na patrole. I na nogi. Pola wokół miasta są pełne pulapek. A właściwie są jedna wielka pulapka. To, co widzicie, to jest błoto w stanie idealnym. Nie bagno, ale i nie ziemia. Kto wejdzie, ten się zapadnie po szyję. Nie utopi się, ale i nie wyjdzie, póki nie przyjdzie Straz Pierwszej Kategorii, żeby wyciągać delikwentów takimi długimi bosakami. Wiem o tym, bo ciągle dostawaliśmy zamówienie na bosaki.

-To jest przeciwko tym, którzy próbują się dostać do miasta, czy przeciwko tym, którzy próbują z niego wyjść?

-Przeciwko jednym i drugim. Ci, co mieszkają poza stolicą, myślą, że tam jest trochę lepiej. Ci, co mieszkają w stolicy, robią wszystko, żeby z niej uciec. Jedni i drudzy są w błędzie. Aha, i nie pijcie wody z żadnego potoku ani strumienia. Straz Pierwszej Kategorii zamawia miesięcznie setki cetnarów ziół usypiających i soli morskiej. Warzą z tego specjalną solankę, którą codziennie wlewają do wszystkich cieków wodnych naokoło miasta. Każdy, kto choćby zwilży usta, natychmiast zasnie i w większości wypadków wpadnie do wody. W nasyconej solą wodzie nie utonie, ale dopłynie do kanału, który prowadzi do podziemnego

jeziora znajdujacego sie pod fundamentami Rombu. Tam wylawia sie ciala. Wiekszosc nie zyje, bo wpada do strumienia nosem w dol. Ich zakonserwowane przez sol ciala zostaja wystawione na posmiewisko na ulicach miasta, z namalowanymi na twarzach maskami klaunow. Ci nieliczni, ktorzy doplyna do jeziora w uspieniu, budza sie w Rombie.

-A jak my dostaniemy sie do miasta?

-Wlasnie tak.

-Dziekuje pieknie, nasz dowodca zwariowal.

-Nie - powiedzial Ardzu. - Ja wiem, o co mu chodzi. Oni tam sa przyzwyczajeni do trupow i do ludzi uspionych. Nie beda sie spodziewac, ze nagle pojawia sie cztery przytomne krasnoludy z toporkami i nozami. Wybijemy ich i od razu bedziemy w podziemiach Rombu. Od razu bedziemy mogli wziac sie do roboty. Bo tam jest przeciez nasz cel. Mamy podkopac fundamenty i zburzyc Romb. To klasyczny fortel, wplynac pod fortece podziemnym kanalem.

-Nie, to nie tak - zaprzeczyl Agni.

-Nie?

-Nie.

-To co, mamy dac sie aresztowac?

-W pewnym sensie.

-Aha. Czyli jednak nasz dowodca zwariowal.

-Komenda Podziemnego Odłowu zamawia corocznie osiemdziesiąt mieczy i dwieście kusz. Choćby nie wiem jak byli zaskoczeni, nie dadzą się pobić czterem krasnoludom z toporkami. Po prostu jest ich za dużo.

-Ciekawe, dlaczego tylu ich tam jest.

-Bo podziemny kanał to, poza główną bramą, jedyna droga do Rombu. A wpłynąć pod fortece podziemnym kanałem to klasyczny fortel. Oni też o tym wiedzą.

-To co my mamy zrobić?

-Wpłyniemy tam, udając trupy.

-Nie...

-Znowu dwa dni bez ruchu?!

-Najwyżej dzień. Oni nigdy nie zamawiali ziół do balsamowania. To znaczy, że nie będą nas mumifikować, bo trupy konserwuje już sama solanka, która płynie. Nie zamawiali też siana do wypychania. Zwłoki docierają do nich już zesztywniałe, wystarczy namalować maskę klauna na twarzy i postawić na ulicy, pod ścianą.

-I co, nas też tak mają postawić?

-Tak.

-Ale w ten sposób nie dostaniemy się do podziemi Rombu. To znaczy, dostaniemy się, ale zaraz je opuścimy, bo wyniosą nas na ulicę.

-Trudno. Ale w ten sposób przynajmniej będziemy w mieście.

-Ale to głupie, być tak blisko celu i...

-Z miasta łatwiej dostaniemy się do Rombu niż z podziemnego jeziora, które jest pod strażą stu ludzi.

-Nie wątpię. Z miasta, pełnego szpicli, na pewno łatwo dostaniemy się do Rombu. I nigdy go już nie opuścimy.

-I tak go nie opuścimy. Przecież jak zburzymy fundamenty, to co, myślisz, że to przeżyjemy? Będziemy pod spodem i nie sadzę, żebyśmy zdążyli uciec.

-No, ale wtedy rozmazemy się powoli po całym Wszechświecie. Na tym polega rozpad ciała na te wszystkie czastki, nie?

-Bima mówił, że to jeszcze gorsze niż Romb. Albo dokładnie takie samo.

-Bima.

-Bima mówił różne rzeczy.

-No właśnie. Pomyslcie, jeżeli połączenie się z czymś tak odrazającym, jak ludzka samica, daje taką rozkosz... To jaka rozkosz daje połączenie się z całym Wszechświatem?

-Zaraz. Ale przecież krasnolud to byt. To nie coś żywego, jak elf, tylko byt taki jak kamień, nie? Nigdy z niczym się nie łączy i zawsze pozostaje sobą, nawet w postaci rozproszonej. Więc...

-Słuchajcie, nie wiem, jak to jest. To może być meka. Ale wcale



nie musi, bo, jak słusznie powiedziałeś, krasnolud to pojedynczy byt, który nigdy z niczym innym się nie łączy. Może być dobrze, może być źle, może być nijak. A my musimy iść na to ryzyko, bo wysłano nas w misji samobójczej. Dla dobra wszystkich chłopaków.

-Może lepiej być wypchanym trupem? Wtedy tak się nie rozkładasz, nie mieszasz z tym światem, przynajmniej przez długi czas...

-O właśnie, a jeśli w jeziorze okaże się, że jednak wypychają...

-To wtedy będziemy musieli zastosować klasyczny fortel.

-To znaczy?

-To znaczy, że będziemy musieli zabić stu ludzi z mieczami i kuszami. Ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Do Jego Olsniewającej Wysokości, Oceanicznie Głęboko Milującego, Słonecznie Jasno Przenikliwego i Brzytewnie Ostro Sprawiedliwego Pana Naszego, Nieskonczenie Jedyne Cesarza!

Drzaca przed Majestatem nikczemność i obrzydliwość osmiela się zdac swój comiesięczny raport Cesarzowi, z przerażeniem oczekując zmiazdzenia za taką zuchwałosc.

Bezczelności tej nie da się usprawiedliwić i wszelka próba tłumaczenia się byłaby jeszcze bardziej potworną bezczelnością. Wcielona nikczemność osmiela się wyjaśnić swoje postępowanie jedynie gwoździem jak najskwapliwszego

poinformowania Jasnej Przenikliwości, tak aby mogła Ona wybrać jak najwłaściwszą karę. Aczkolwiek sam pomyśl, że jest coś, o czym Jasnej Przenikliwości nie wie sama z siebie, coś, o czym trzeba ją informować, też zasługuje na Najwyższą z Najwyższych Wszechkar.

Święty Obezwładniający Strach, Strach przed Majestatem i jego Nakazami większy niżli Strach przed samą Karą nakazuje jednak, aby pełnić swą powinność, donosząc o wszystkim, co dzieje się w stolicy. Dlatego nikczemność narazi się na Wspaniałą Cesarską Karę, by wypełnić Wspaniałą Cesarską Rozkaz.

Zarazem istota podła i godna zarazem Bezpowrotnej Śmierci oraz Nigdy Niekonczących Sie Meczarni rozplywa dziś się w pokornej rozkoszy oznajmiania Najwyższemu Majestatowi Dobrych Wiści. Aczkolwiek sam pomyśl, że jakieś Wiści mogą być dla Majestatu Dobre, też zasługuje na Najwyższą z Najwyższych Wszechkar. Bo wobec Najwyższego Majestatu nic nie jest Dobre. Dobre jest tylko Majestat i jego Kary!

Obrzydliwość i znikomosc nie może jednak powstrzymać Nieskonczenie Długiego Okrzyku Radości na widok spełniających się Świętych Zamysłów Cesarza.

Najnedźniejszy z Ukochanych Poddanych Cesarza oddawał się wczoraj wieczorem czynności tak małej, że prawie nie śmie przedstawić jej Fiolkowej Nieskonczoności Cesarskich Oczu. Czyni to jednak w niedźnej i zapewne zwodniczej nadziei, że małosć jego spraw uratuje to, że zajmował się nimi w służbie Cesarza. Podczas tak zwanej przechadzki, poświęconej Czujnemu Podpatrywaniu, sługa sług Majestatu ujrzał, jak

spełnia się to, czego chce Cesarz.

Niech żyje Cesarz, Największy Zwycięzca, Zwycięzca  
Zwycięzców, który Zwyciężył Zwycięzce Wszystkich Zwycięzców!  
Niech żyje Zwycięzca Śmierci!

Albowiem podczas niedznej i niegodnej przechadzki  
przechodzien, który nie zasługiwałby na Jakakolwiek Świetlista  
Uwagę ze strony Majestatu, gdyby nie to, co zobaczył, zauważył,  
że spełniły się Cesarskie Plany Zwycięstwa nad Śmiercią - i  
zawył z radości.

Jasne jest, że najnikczemniejsza ze wszystkich nicości nigdy nie  
osiągnie takiej precyzji, która mogłaby choć w najmniejszym  
stopniu nadawać się dla Fiolkowej Przenikliwości Cesarskich  
Oczu, niemniej jednak spróbuje w nikczemności swojej opisać  
to, co zobaczył.

W Zaulku Miliarda Przyszłych Tryumfów, jak zwykle, stały Truchla  
Pociesznej Ohydy. Oparte o ściany domów żalosne resztki  
nikczemnych wrogów, którzy spróbowali wejść do lub wyjść z  
Oszalamiająco i Przeszywająco Wspaniałego Cesarskiego  
Miasta Pierwszej Kategorii. I jakkolwiek były to trupy, to w  
pewnym momencie zaczęły się poruszać!

Chwała, Chwała, Chwała Zwycięzcy nad Zwycięzcami, Zwycięzcy  
nad Śmiercią! Ja w mej nikczemnej małości donoszę o tym  
wszystkim nie tylko, aby wyrazić mój Poddancy Zachwyt, ale  
także, żeby tych zmartwychwstałych jak najszybciej zabiło.  
Albowiem zmartwychwstali jako to, czym byli! Cud  
zmartwychwstania przywrócił im nie tylko utracone życie, ale  
także związana z nim nikczemność! Niestety! Nie natchnął ich

pokora i wdziecznością! Nie udali się do Rombu, aby błagać o karcę! Ale bezczelnie zmasakrowali twarz Maski Śmiechu i Pogardy, a następnie wmieszali się w tłum. Co więcej, odchodząc, nie deptali po głowach zdrajców, których Cesarz w swej łaskawości kazał zakopać żywcem w ziemi naszych ulic aż do wysokości ust, tak aby służyli nam za bruk. Te słowa pisałem ja, Ahti Cioppa, najnikczemniejszy ze wszystkich Skrytych Cesarskich Obserwatorów Rangi Bezpośredniego Donosu.

Kolejka przed Zajazdem Wiernego Sługi w Oslupiająco Pięknym Cesarskim Miście Pierwszej Kategorii kiwała się z nudów.

-Oj - mówił jeden z tych, co stali najbliżej wejścia, chudy i pokaszający brodacz w krótkiej tunice, której zapach zdradzał, że została wykonana z czegoś, co kiedyś było konskim czaprakiem.

- Czyżby Brygada Skrzetnej Gospodarności przygotowywała dzisiejsza odwieczną szczególnie skrzetnie?

Cała kolejka syknęła. A następnie cała kolejka zaczęła udawać, że to nie ona syknęła. Cała kolejka zaczęła udawać, że w ogóle nie słyszała obrazoburczej wypowiedzi brodacza. Jasne, że dzisiaj wszystko trwało jeszcze dłużej niż zwykle, ale nie był to powód do wypowiedzi, które ktoś mógłby uznać za ironiczne.

-Czyżby pan z zewnątrz? - zapytał w końcu ktoś z tyłu kolejki.

-A tak. Nie jestem stąd - odpowiedział brodacz.

-To czuć - dobiegło skądś i cała kolejka ryknęła wesolo.

-A co? Coś się nie podoba? - wykasłał brodacz i wyjął z kieszeni czapraka spory młotek.

-Gwozdzie bedzie wbijal - skomentowala jakas czesc kolejki.

-Niech pan sie dowie, ze nie jest pan w swoim chlewie - wlaczył sie wreszcie do dyskusji Starszy Kolejki, lisy facet w dlugim, niegdys haftowanym, a dzisiaj poszarpanym plaszczu. Na ramionach mial trupia czaszke, co oznaczalo Spolecznego Ochmistrza Ruchu Ulicznego. - Tu jest Niewyrazalnie Wspaniale Cesarskie Miasto Pierwszej Kategorii. Tu panuje Niewyobrazalnie Doskonaly Porzadek Cesarski. Tu niedopuszczalne sa zachowania prosto z obo...

-He, he - brodacz podrzucil mlotek w gore, znowu go zlapal, a potem dowiodl, ze dialektyka posluguje sie rownie zrecznie. - He, he, to znaczy, ze wedlug szanownego pana za murami ten porzadek juz nie panuje? Czyzby szanowny pan chcial nam powiedziec, ze Najwspanialszy Majestat nie podporzadkowal reszty swiata swej Poteznej Woli? Niewyobrazalne bluznierstwo.

Na te slowa kolejka zaczela topniec. Kilka jej czesci oddalilo sie pospiesznie, depczac po wkopanych w ulice glowach zdrajcow. Jedna z glow, najwyrazniej juz niezywa, pekla, a ze srodka wylal sie polplynny, zgnily mozg, ktory zapachem mogl konkurowac z czaprakiem brodacza. Starszy Kolejki nie poddawal sie jednak tak latwo.

-A pan sugeruje, ze Cudownej Mocy Bliskosc Cesarza nie odmienia ludzi i nie sprawia, ze jeszcze usilniej dogladaja Cesarskiego Porzadku niz nedzni, oddaleni od Cesarza prowincjusze? Sugeruje pan, ze Ozywczajaca i Odradzajaca Bliskosc Cesarza nie ma wplywu na wiernych poddanych? Brac bluznierce!

Młotek uniosł się, ale nie uderzył. Ktoś wytracił go z ręki brodacza. Trzonek zawirował w powietrzu, obuch uderzył w kolejną uliczną głowę zdrajcy i kolejny mózg wylał się na zewnątrz, tworząc brunatną kałużę o porażającym smrodzie.

Brodacz zdążył tylko raz krzyknąć: "Ludzie!", i zaraz potem wpadł twarzą w tę kałużę, podczas kiedy wielonoga kolejka deptała po nim buciorami i chodakami. Już po chwili zgnily mózg zmieszał się ze świeżą krwią.

-Hi, hi - powiedział Starszy Kolejki.

-A co powiemy Przenikliwej Straży? - zatroszczyła się tylna część ogonka. - Przecież zabicie zdrajcy to utrudnianie śle...

-Schowamy go. - Starszy machnął ręką i kolejka zaczęła dzwigać zwłoki w stronę otworu kanalowego.

-Voppe, Karan i Kaupungimies poszli. Moga donieść o bluźnierstwach...

-Poszli nie po to, żeby donosić, tylko żeby nie wiedzieć. Kto doniesie, ten wie, a jak wie, to jest współodpowiedzialny i idzie na śmiertelne piekło jako bierny współnik.

-Ale kto nie doniesie, idzie do miejsca na "R".

-Ale nikt nie będzie wiedział, że nie doniesli. My nie doniesiemy.

-Ale skąd mają o tym wiedzieć?

-Znają mnie.

Znaja cie, pomyslala kolejka. Znaja Spolecznego Ochmistrza. Wiedza, ze doniesiesz. Tak samo, jak i my wiemy. Doniosa.

Ochmistrz wiedzial, co myśli kolejka. A przynajmniej domyslal sie kolejkowych myśli.

-No dobra - zdecydowal sie. - Dognajcie ich. I powstrzymajcie. Powiedzcie, zeby tu przyszli, wtedy powiem im cos, co oczysci ich z zarzutow. Albo nie, powiedzcie, ze wiem, jak uciec z miasta. A wy idzcie na rog patrzec, czy ktos nie idzie.

Uczestnicze w zbrodni. Ale to jest tak zwana obserwacja uczestniczaca, bo pozniej doniose. Zarobie co najwyzej na jakas pieciodniowa egzekucje.

Kolejny wielonogi kawalek kolejki pobiegl. Kiedy wrocil razem z trzema zbiegami, kolejka nadal zmagala sie z trupem. Nie chcial sie zmiescic w otworze.

-Dokad pobiegliscie?

-Spelnic obowiazek.

-Co ty mowisz? Pobieglismy ze strachu do domu.

-Aha. Jezeli mamy sie z tego wykaraskac... - Starszy Kolejki rozejrzal sie wokol, spogladajac znaczaco na kolejke. - Poczekajcie tutaj. Ja zaraz przyjde. Mam pomysl...

-O nie. Tak latwo to nie bedzie - powiedziala tylna czesc kolejki, ktora teraz, po calym zamieszaniu, znajdowala sie na przedzie. Czyli przy zbyt ciasnym otworze kanalowym.

-Nigdzie nie pojedziesz. Bo jak pojedziesz, to pojedziesz doniesc.

-Co tu sie, kurwa, dzieje?

Zajazd Wiernego Slugi otworzyl swe podwoje. W srodku stal niski i pekaty mezczyzna o usmiechu profesjonalnego oberzysty.

-Nasza Brygada przeejala zajazd wczoraj, wiec to musialo troche potrwac. Nie ma co sie awantu... O kurwa.

Mezczyzna zobaczyl trupa. A potem zobaczyl, ze cala kolejka patrzy nie na trupa, tylko na niego.

-Wlazcie - powiedzial Agni. - Dawajcie trupa. Musimy go tu schowac. I wy tez musicie sie tu schowac, szybko!

-No i co my z nimi teraz zrobimy? - zapytal Ardzu, gdy cala kolejka siedziala na podlodze, zwiazana, zakneblowana i krwawiaca od ran.

-To samo, co z trupem. Uwiedzimy.

-Grmfff!!! - zabuczala zdlawiona kolejka.

-Czesc zjemy, czesc miesa sprzedamy.

-A jak to zrobimy? Przeciez tu ludzie beda przychodzic.

-To bardzo proste - Agni usmiechnal sie i z za wielkiej rzezbionej szafy wyciagnal deche z napisem: "Zajazd Chwilowo Nieczynny".

-Chwilowo?



-Na przykład przez trzy miesiące.

-A jak przyjdą kontrolerzy? Jak zaczyna nam zaglądać do wędzarni?

-Będziemy się ich bać przez pierwszy tydzień. A zresztą tych, co przyjdą przez ten pierwszy tydzień, przecież uwedzimy.

-Grmfff!!!

-Potem już zakopujemy się tak, że nie dogryza się do nas. Tak, jak to było w kopalniach.

-No wiesz, tu nie wykopujemy takich kopalni.

-Jesteśmy krasnoludy.

-Ale cztery.

-Nie ma innej możliwości spełnienia zadania. Do roboty. Ja, Ardzu i Saha zaczynamy kopanie, Naku wędzi.

-Grmfff!!!

-Ale najpierw zabija, oczywiście.

-A może nie? - rozmarzył się Naku. - Przecież właściwie można by uwedzić ich żywcem. Trzeba wypruć im flaki na zewnątrz, ale nie wrywać do końca. Lekki zapaszek smazonego gówna nie będzie wtedy aż tak lekki, powstanie wędzonka naprawdę dla koneserów, a jedzenie dodatkowo przyprawi świadomość, że ostatnie swe chwile pomioty spędzili w mekach...

-Nie - powiedział Agni cicho. - Nie eksperymentujmy. Wedzarnie są przewiewne, ta nasza tutaj nawet bardzo. Siła rzeczy, nie jest dzwioskoszczelna. A jak ktoremus wypadnie knebel i zacznie się drzec? Albo jeśli wedzonka będzie zbyt już gówniana? Nie, zabijmy ich teraz.

-Grmfff!!!

-Dzień dobry! Halo! Jest tam kto! Proszę otworzyć drzwi!

-Tak jest, słucham, o co chodzi? - spytał Agni, udając zmęczone lekceważenie.

-Zajazd Wiernego Slugi? - spytał elf-renegat z przyciętymi uszami, w szarobrazowym uniformie. Na ramionach miał znak Przeklutej Dłoni, czyli dystynkcje Kontrolera Handlu.

-Tak.

-Zalegacie z Blogosławioną Opłatą Licencyjną Uprawniającą do Zajmowania się Nedznym i Przeklętym Handlem. Jak również z Metapodatkiem od Wyszynku.

-Nedznego i Przekletego.

-Nie, wyszynk należy do kategorii Działalności Nikczemnej, nie podpada pod Nedze i Przekleństwo. Jesteście nowi w tym interesie?

-Tak. Jesteśmy nową Brygadą Zarządzająco-Agencyjną i dopiero co przejęliśmy Zajazd. Tak że z niczym nie zalegamy.

-Może obejrzyć wasz glejt?

-Akurat. Znamy wasze numery. Dam ci glejt Cesarskiego Przyzwalajacego Kiwniecia Glow, a ty mi go juz nie oddasz. Powiesz: "Nie ma glejtu, nie ma interesu". I bedziesz chcial lapowke.

-Nie jestescie ze stolicy?

-Nie. Sprowadzono nas tutaj za zaslugi w prowadzeniu zamtuza Nadzieja w miescie Killach.

-Moge obejrzec swiadectwo waszych zaslug?

-Nie. Moge ci tylko powiedziec, ze byly to zaslugi, ktore nie interesuja takich sluzb, jak wasze. Byly to zaslugi, ktore interesuja zupełnie inne sluzby.

-Panie brygadierze, prosze nie probowac mnie zastraszc. - Elf pobladl ze zlosci. - Moze i dobrze prowadziliscie dzialalnosc podslychowa w waszym burdelu, ale nie mnie to oceniac...

-Na pewno nie tobie.

-...Ale z moich papierow wynika, ze zalegacie. Zajazd Wiernego Slugi nie zaplacil Oplaty Licencyjnej w terminie, ani Metapodatku. To znaczy, ze przejeliscie Zajazd z jego zobowiazaniami i ja teraz musze przystapic do egzekucji dlugu. Ze wzgledu na opoznienie zaplaty, egzekucja oznaczac bedzie nie tylko przejecie lokalu i zarekwirowanie mienia, ale takze...

Elf spojrzal w papiery.

-Ale takze egzekucje: wyrwanie jader, obciecie rak, nog, nosa, uszu i wszystkich innych wystajacych czesci. Prosze wpuszc

mnie do domu i polożyc sie na podłodze razem z reszta Brygady, tak abym mógł przystąpić do natychmiastowej egzekucji. - Aha.

-Proszę mnie wpuścić! Ja muszę wejść i to zrobić!

-Aha. Skoro pan musi...

-Nie ruszaj się.

-Skurwysyny.

-Nie ruszaj się.

-Skurwysyny. Czy wycie zwariowali? Tutaj jest stolica! Kiedy Cesarski Funkcjonariusz mówi, że macie się położyć na podłodze, to wy to robicie! I nawet nie osmielicie się skrzywić podczas egzekucji...

-Nie ruszaj się. Zostaw ten miecz.

-Nie boje się was! To wy się boicie! Za mna jest Majestat Cesarza!

-Nie ruszaj się.

-Ja wam pokaze!

-Nie ruszaj się.

-Ja wam dam!

-Nie ruszaj się.

-Ja wam dam "nie ruszaj sie"...

Miecz swisnal. Toporek z gluchym ni to pluskiem, ni to tapnieciem zaglebil sie w piersiach elfa-renegata. Elf upadl na podloge. Przez chwile buchala z niego fontanna krwi.

Obok niego spadla odcieta glowa Agniego. Sam Agni, jak na krasnoluda przystalo, zrobil jeszcze kilka krokow, machajac toporem, a potem tez upadl. Spora jego czesc rozlala sie po deskach podlogi, tworzac wielka czerwona kaluze. W ten sposob Agni rozprzestrzenial sie coraz bardziej i bardziej, docieral do piwnicy, wsiakal w drewno. Wszystko rozgrywalo sie szybko, bardzo szybko, z kazda chwila szybciej. Teraz krasnolud lezal w ziemi. Ale czesciowo wedrowal tez gdzies dalej w trzewiach bialych larw. Wylegly mu sie w brzuchu, a teraz sam byl w ich brzuchach i wedrowal z nimi w gore, ku powierzchni ziemi. Spora czesc wyparowala, skroplila sie i spadla do jakiegos potoku, a ze potok przesycony byl ziolami nasennymi i ciezka solanka, od razu zasnela. Ale w wiekszej czesci Agni nie spal. Nie mogl. Mieszanie sie z calym Wszechswiatem wiazalo sie z pewnym nieznośnym uczuciem. Nie byl to wprawdzie bol, ale wszechobecne swedzenie. I nie bylo jak sie podrapac.

-Urmultu humu huruturu pufu! Umbumbu bubu bumbu bumbu bubu!

-Posluchaj mnie uwaznie. Za chwile znajdziesz sie na granicy smierci.

-Umpumpu tumfu surumupu kumbu! U bubu bubu mutupunu bubu!

-To będzie twoje pierwsze zetknięcie ze smakiem  
niesmiertelności.

-Kumburuturu rurukuku puntu! Urmultu hungu pumburuntu  
bubu!

-Chce, żebyś skoncentrował się na tym przeżyciu. Chce, żebyś  
przeżył tę swoją śmierć. No, prawie śmierć.

-Upupu kuku kugu gugu kukku! Rumpuru huppu sulululu bubu!

-To będzie bardzo silne przeżycie.

-Fumpuku rurru mumu mumu bubu! U bubu bubu bubu!

-Teraz zostanie wsunięta do twoich płuc tak zwana silnotchawka.

-Kungutulupu susurumu pumpu! Rururu tutu kukunuku bubu!

-Przez silnotchawkę będziemy wypełniać twoje płuca  
powietrzem, a potem będziemy to powietrze wysysać.

-Kuppupu ruru stututu ntuntu! Mumbulu bubu bumbu bumbu  
bubu!

-Narzucimy ci nasz własny rytm oddechów.

-Unkuku kunku rurutu pumbubu! Bumbunu nuru bunutudlu  
bubu!

-W twoje płuca wdzierac się będzie o wiele więcej powietrza niż  
dotąd.

-Gumburbu pumu pututunu pumpu! Sumpuru kungu numutunu bubu!

-Oddychanie to proces zyciowy. A my cie nim o malo nie zabijemy.

-Fumpupupuku rururutu punglu! Untuktu rfundu mulupupu bubu!

-Bo nasze zabijanie daje zycie. Zycie wieczne. Zblizysz sie do granicy smierci tak bardzo, tak bardzo zapoznasz sie ze smiercia... Ze zaczniesz sie na nia uodporniac...

-Rurupu stutu nturutuntu gumfu! Muruppu turtu kururudu bubu!

-Wiecej oddychania to wiecej zycia. Nie wypelniles twojej misji, nie sprawdziles sie w pelni... A my i tak damy ci pelnie zycia. A nawet wiecej niz pelnie.

-Tumtupuputuku lufuturu rurtu! Umpukku puru mumududububu!

-Teraz wlasnie otwieramy ci usta... I aplikujemy silnotchawke.

-Uhhuhu huhu huhhu huhhu huhu! Huhuhuhu huhuhuhu huhu!!!

-Skoncentruj sie na tym, co ci robimy. Skoncentruj sie na silnotchawce, Ritavartin. Wlasnie dajemy ci pierwsza bardzo duza porcje powietrza...

-Witaj, admirale Matsuhiro.

-Witaj, sliczna osmiorniczko.

-Skąd to porównanie?

-Bo schrupałbym cię jak osmiorniczkę, panienko.

-Aha. A ja myślałem, że to aluzja do ostatniej chłosty osmiornicowym jadobiczem, jaka ci wymierzono.

-Nikt nie osmieleł się podnieść ręki na wielkiego wojownika.

-Przecież widzę rany.

-Ha! Rany to chleb codzienny dla wielkiego wojownika.

-To skąd się biorą, jeżeli nikt nie podnosi ręki na wielkiego wojownika?

-Ha! Wielki wojownik sam sobie zadaje rany, żeby nie wyjść z wprawy.

-Rozumiem. Próbujesz mnie przekonać, by zostawić cię w spokoju, a ty już wtedy sam się storturujesz tak koncertowo, jak nawet my byśmy nie potrafili?

-Ha! Będziecie zadziwieni.

-Niestety, admirał Matsuhiko. Tortura zadawana cudzą ręką boli podwójnie. A ponieważ ciągle wyrażasz chęć tak zwanego spółkowania, więc pozwolę ci pospolkować. Czy widzisz to tutaj włochate zwierzątko?

-Nie...

-Nie widzisz?



-Widze, panienko, ale...

-To jest tak zwany bumbon. Normalnie bumbon jest lagodny i poddaje sie ludzkim gwałtom z cichym smutkiem. No, nie zawsze cichym. Charakterystyczna cecha bumbona jest niezwykla miekkosc i elastycznosc miesni. Dzieje sie tak dlatego, ze bumbon jest w stanie wytworzyc w swoim organizmie proznie w dowolnym miejscu. Bumbona mozna zgwalcic praktycznie wszedzie, bo gdziekolwiek by sie przytknelo narzad plciowy, juz przy lekkim nacisku powstaje mile wlochate zaglebiecie odpowiednich rozmiarow. Ale za pomoca krotkiego pobytu w Rombie, podczas ktorego uodpornialismy bumbona na smierc, bumbon stal sie antybumbonem. Pod wplywem tortur i zwiazanego z nimi stresu zrobil sie, powiedzmy, wewnetrznie agresywny. W momencie, w ktorym rozpoczniez gwałt, bumbon wytworzy proznie naokolo twojego narzadu gwałtu. Nagle pojawienie sie prozni, czyli brak cisnienia powietrza wokol czlonka, sprawi, ze fiut eksploduje. A bumbon zlize jego resztki z futra, bedzie wiec mial dodatkowo kolacje. Dzieki tej eksplozji admiral Matsuhiko zblizy sie do granicy smierci. Zapozna sie z nia tak dobrze, ze zacznie sie na nia uodporniac. Milczysz, admirale Matsuhiko? A przeciez wielki wojownik niczego sie nie boi?

-Wielki wojownik jest juz dosyc dobrze zapoznany ze smiercia! Wielki wojownik nie zgwalci zwierzatka! To ponizej jego godnosci!

-Zgwalci, zgwalci.

-Nie podnieci sie!

-Podnieci. Ja go podniece. W mojej najpiękniejszej kobiecej postaci. Zrobie ci to, o czym marzyłeś, admirał Matsuhiko. Będzie cię całować, całować, całować... Z tą drobną różnicą, że ostatecznej penetracji dokonasz nie na moim ciele, tylko na ciele tego tu oto bumbona. Zobacz, jak małenstwo się szczyrzy... No dobra, przystąpmy do rzeczy.

-Nie... Panienko... Nie, najpierw muszę ci coś wyznaczyć... Panienko, nie rób tego... Nie rób tego jeszcze... Poczekaj, bo będziesz żalować... Nie chcę, abyś mnie dotykała... W ten sposób... Panienko... Chociaż jest panienka uzurpatorem... Ja panienkę kocham... Chcę z panienką wziąć ślub! Nie chcę tego robić bez ślubu!

-Jasne. Jako Cesarz, udzielam ci natychmiast ślubu ze mną. I z bumbonem. Ciesz się, jesteś pierwszym i jedynym człowiekiem, który poślubił Cesarza. I bumbona.

-Panienko... Nie, panienko... Proszę... Panienko! Panienko! Panienko!

-Możesz mi mówić "pani Matsuhiko".

-Panienko! Panienko! Panienko... Panienko... Panienko... Panienko... Och, panienko... Pani... Pani moja... Pani... Pa...!!!

-Dobry bumbon, dobry.

-I jak tam, Ziofilattu?

-Hhh...

-Masz jakieś kłopoty z artykulacją?

-Hhh...

-No tak. Przecież sam zmasakrowałem ci gardło, bawiac się z toba w rybaka, rybke i wedke. Ale już czas, by skonczyć z tymi dziecinnymi zabawami. Chociaz ty lubisz bawic się z dziećmi, prawda? Z małymi dziewczynkami?

-Hhh...

-Teraz przystapimy do Tortury Wlasciwej. Wszystko, co bylo do tej pory, bylo tylko delikatnym przygotowaniem do tego, co cie dzisiaj czeka. Dzisiaj i jutro, i zawsze. Wyobraz sobie, ze ktos, kogo bardzo kochasz, kogo potrzebujesz, ale z kim nie powinienes sie laczyć seksualnie... Ze ktos taki cie gwalci.

-Hhh...

-Dlugo zastanawialem sie, kto to moglby byc... Widzisz, po tym, jak cie zmasakrowalem, nie mozesz jesc. Dostajesz tylko polplynna papke z mlecznicy, i to w bardzo malych dawkach, ktore wciaz sie zmniejszaja, aby uodpornic cie na smierc glodowa... A mlecznica, nawet w duzych dawkach, nawet ta od starego Chocholacza, to nie to samo, co mieso? Na pewno marzysz o miesie, co? Kochasz mieso, potrzebujesz miesa... Choc pewnie nie chcialbys sie z nim polaczyc seksualnie. No i wlasnie dlatego zostaniesz zgwalcony przez mieso. Przez duza ilosc piezonego miesa.

-Hhh...

-Posiadam duza ilosc ludzkiego miesa, ktore wykonuje moje polecenia. Porusza sie, zachowuje tak, jakby zylo, a to dzieki

specjalnym drucikiem, do których jest podczepione. Ludzkie zwłoki, które ożywialem za pomocą superdokładnej imitacji procesów życiowych. Specjalnie dla Ciebie kazałem je upiec, nie zdejmując ich zresztą z drucików. Teraz, umiejętnie manipulowane i smakowicie przyprawione, będą Cię gwałcić swoim wypieczonymi na twardo, gorącymi narządami. Dzięki wewnętrznym poparzeniom, a także dzięki wstrzasowi psychicznemu, zbliżysz się do granicy śmierci i zapoznasz się z nią tak dobrze, że zacznie się u Ciebie proces uodpornienia na śmierć. Więc raduj się, Ziofilattu!

-Hhh...

-Raduj się, mówie! A powiedziałbym nawet "Klaszcz!", gdybyś miał jeszcze ręce, bo oto zaczyna się Teatrum. Mmm, co za zapaszek... Mieso oczywiście skruszało trochę przed pieczeniem, ale specjalnie dla Ciebie wybrałem trupy niezbyt zgnile. Muszą być apetyczne, bo to dopiero wzmaga odręże i wstrząs! Trup smaczny jest dla człowieka jeszcze większym wstrząsem niż trup zgnily. Wiem o tym, jak bardzo z tego powodu męczyłeś się tam, na Polnocy, gdy widziałeś, jak oni jedzą swoje żony... Dobra, niech zacznie się trupia rozkosz!

-Hhh...

-A gdzie okrzyki radości? Częściowy brak gardła nie jest żadnym usprawiedliwieniem! Kukielmistrze! Nasz Ziofilattu nie odczuwa jeszcze rozkoszy. Nie wydaje z siebie odpowiednio głośnych wyrazów radości. Dajcie szybko te najgoretsza kukle, te obtoczona w pieprzu i soli.

-Hhh!!!...

-Witaj, Barnaro.

-Witaj, panie.

-Wiesz, że zaraz zaczniemy cie uniesmiertelnić?

-Wiem.

-Czy jesteś zachwycony?

-Tak, jestem zachwycony.

-Czy odczuwasz radość?

-Tak, odczuwam radość.

-Czy szalejesz ze szczęścia?

-Tak, szaleje ze szczęścia.

-Czy widzisz tego człowieka?

-Tak... Tak, widzę tego... Człowieka.

-To jest człowiek. Tyle że uwklesnilismy mu twarz.

-Tak. Uwklesniliscie.

-Tam, gdzie miał nos, wepchnelismy mu go do środka, tworząc jamę, która idealnie odpowiada kształtowi jego poprzedniego nosa. Brode, szczęki też mu wepchnelismy, tak że stały się wklesłe, tak jak wcześniej były wypukłe. I czoło też, oczywiście, co uszkodziło mu mózg. Bol i uszkodzenie mózgu sprawiają, że

ten... człowiek... ciągle kłapie szczekami, jakby starał się gryźć.

-Tak. Widze.

-I słyszysz, co?

-Tak.

-Wiesz, co się teraz stanie?

-Tak, domyślam się.

-Słusznie. Będziesz musiał założyć maskę... Ale to dla ciebie, jako dla aktora, nic nowego, prawda... Zawsze odgrywałeś rolę, do której się nie nadawałeś, zawsze byłeś kims innym, niż chciałeś być. Więc założysz maskę... To znaczy, przyłożymy twoją twarz do twarzy tego człowieka. Kiedy był jeszcze wypukły, był bardzo do ciebie podobny. I nadal jest podobny, tylko na wklęsło. Twoja twarz więc wejdzie idealnie w jego wklęsłą twarz. Nazywał się Tundu Embroja, całe życie był nienazarty, ciągle chciał jesc... Teraz cały czas gryzie, jakby szarpie tą swoją wklęsłą szczęką... Teraz będzie miał co szarpac. Teraz nareszcie będzie miał co jesc. Mieso, które będzie przylegać do jego wklęsłej twarzy.

-Taaak!!!

-Tak.

-Chciales o coś zapytać, Viranie Watanabe?

-Tak... Panie, dlaczego przez cały czas pokazujesz mi różne narzędzia i opowiadasz o torturach?

-To dziwne pytanie u takiego profesjonalisty. Jesteś przecież na sali tortur i dobrze o tym wiesz.

-Tak... Panie... Ale dlaczego ciągle mówisz o torturach, a nie... nie...

-Nie przystępuje do tortur?

-Tak!

-Martwi cię to?

-Nie... Nie, bo zrozumiałem... Panie, ty nie torturujesz! Ty jesteś dobry!

-Oczywiście, że jestem dobry.

-Ty... Panie, ty chcesz tylko nas przestraszyć, abysmy robili to, co słuszne. Ty tylko mówisz o torturach, ale ty nikogo jeszcze nie storturowałeś!

-Oczywiście, że jestem dobry.

-Ty jeszcze nigdy nikogo tak naprawdę nie przywiodłeś do śmierci! Ojciec! Dobry Ojciec! Śpiewam twoją chwałę, Ojciec!

-Oczywiście, że jestem dobry. Ale to nie znaczy, że nie torturuję. I to nie znaczy, że nikogo nie przywiodłem do śmierci. Wręcz przeciwnie. Przywiesić ludzi do śmierci, na samej jej granicy, to jedyny sposób, aby uodpornić ich na śmierć.

-To dlaczego... Dlaczego trzymasz mnie tutaj, w strachu i w nadziei... Nie torturując?

-A chcesz, zebym zaczął?

-Nie!!!

-Nie chcesz... A przecież wiesz, że Święte Postanowienia Cesarza są nieskonczenie słuszne. Jeżeli Cesarz skazuje cię na nieskonczoną torturę, ty musisz jej pragnąć całym sercem i całą duszą!

-Taaak!!!

-Dobrze. A nie torturuje cię tylko dlatego, że jesteś katem. Profesjonalnym, przynajmniej pod względem zadawania bólu, jeśli nie właściwego nastawienia mentalnego. Nikt tak dobrze cię nie storturuje, jak ty sam. Będziesz sam siebie torturował na mój rozkaz, Viranie Watanabe. Sam z siebie wydobędziesz najstraszliwsze krzyki. A równocześnie będziesz śpiewał Pochwalną Pieśń Kata. To łącznie może dać niesamowite brzmienie.

-Tatusiu mamo?

-Tak, syneczku?

-A ile to jest siedem dodac piec?

-Słucham?

-No bo ja nie wiem. Jestem jeszcze malutki.

-Znowu chcesz mnie zmiekczyć, Hengist? A to ja cię zmiekcze za pomocą tej oto maszynerii.



-Nie!... To znaczy, taaaak!!! To znaczy nie, nie probuje cie zmiekczyć, tatusiu mamó. Ty jesteś surowy i sprawiedliwa... Ja tylko naprawdę chce wiedzieć! I dlaczego drzewka są zielone?

-Co ty próbujesz osiągnąć? Bo wiem, że coś chcesz, tylko bardzo starasz się o tym nie myśleć, żebyś nie poczuła twoich myśli.

-Lalalala!!!

Hengist z coraz większym trudem utrzymywał dyscyplinę umysłu. Zbliżało się coś, co Cesarza bardzo nie lubiło. Ale zbliżało się jeszcze coś innego... coś, co też nienawidziło Cesarza, tyle że była to zupełnie inna rzecz. I ta dwoistość Hengista rozpraszała. Przeszkadzała mu rozpraszać.

-A co to jest, krwawa muszka i szczekuszka?

-Hengist...

-Zła odpowiedź! To nie Hengist! A co to jest, gwizd glist?

-Hengist...

-Też zła odpowiedź! A co to jest skalka pełna ciała?

-Hengist, przestan, bo się zdenerwuje.

-Alalalala! Utikitkitikitki tiki tiki! Awawawawawa!!!

-Hengist, zaraz będziesz miał konkretne powody, żeby wrzeszczeć.

-Hurra! Kaczulu, kaczulu, kaczulu, kaczulu!

-To jest cos, co od dawna dla ciebie przygotowywalem.

-Spotoloto, spotoloto, spotoloto!

-To jest cos, co specjalnie przygotowalem dla mojego synka. Zostaniesz poddany ponownemu splodzeniu. Za pomoca stopniowego rozmiękania osiagniesz stan polplynny, nie tracac jednak swiadomosci. Nastepnie zostaniesz wtrysniety w moje cialo. Ja zajde w ciaze, a twoj swiadomy i wszystko odczuwajacy polplynny organizm zmiesza sie z moim. Oczywiscie, odczujesz to jako potworna ingerencje czegos obcego w twoja istote. Bedzie to bol przerazajacy, bol bolow. Powstanie z tego Hengistocesarz, istota bedaca czystym bolem. I wiesz, co zrobie z Hengistocesarzem? Jego tez poddam ponownemu zaplodnieniu i powstanie Hengistocesarzcesarz, istota bedaca czystym-czystym-bolem-bolem! A z nim... Z nim zrobie to samo i tak dalej, w nieskonczonosc. Przygotuj sie na pierwsza faze zmiekania. Przygotuj sie na wielki skowyt.

Skowyt rzeczywiscie byl wielki. Hengist o malo nie rozerwal stalowych lancuchow, ktorymi przykuty byl do scian Wanienki Zmiekczonej. Zaczal wyc i skrecac sie, zanim zaczela sie tortura, bo wiedzial, ze jego wycie jeszcze lepiej rozprasza tatusia mame niz wszystkie pytania, jakie moglby zadac. W koncu, to byl tatus mama i synkowi wspolczul.

Jonga pelzla. Szlo jej to coraz lepiej. Umiala juz wykorzystywac nieustannie powtarzajace sie skurcze bolu jako motor dla szybkich ruchow. W tej chwili znajdowala sie w rurze. Rura nie miala wiecej jak pietnascie centymetrow srednicy, ale to nie

stanowilo zadnego problemu. Tyle ze Jonga musiala przybrac postac wielkiej czterolokciowej glisty z ludzka twarza.

-Wiesz, to bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie, torturowac drzewo - mowil ktos u wylotu rury. - Kurwa, ile mozna pompowac... Zatkal sie ten kran czy co?

Z gluchym bulgotem i popierdywaniem polplynna Jonga zaczela wypadac z rury. Dwie wasate postaci w helmach i misiurkach, z teczkami pod pacha, nachylily sie nad nia z cichutkim jekiem. Jonga, wypadajac juz calkowicie z rury, splunela kawaleczkami swoich pluc najpierw w twarz pierwszego, a potem drugiego rycerza.

-Hraaa - wychrypial pierwszy rycerz. Drugi skulil sie i upuscil teczke. Fragmenty plucek byly pelne wodnych mrowek, ktore wgryzly sie natychmiast w twarze obu panow. Jonga pelzla dalej.

Byla w czymś, co wygladalo jak laznia, z mala wanienska posrodku. Na scianach widnialy wypisane hasla: "Aj! Jak boli!", "Au!!! Litosci!!!" i "Blagam, nie!!!". Nad wanienska pochylala sie piekna kobieta o fioletowych oczach. Na jej widok Jonga zamarla. Ale tylko na chwile.

-No prosze - powiedziala piekna kobieta. - Jakis szkodnik dostal sie tu przez kanal kanalizacyjny.

-Mamo! - zawolalo cos malutkiego z wanienki. - Tatusiu mamu, ja sie boje!

-Cicho, syneczku - odpowiedziala kobieta. - To tylko wielki glistolud. Zaraz go zabijemy. Juz jest blizutko, mamusia

machnie mieczem... I wrocimy do zmiekczenia. Zaraz osiagniesz wielkosc i miekkosc trzylatka.

"Nie!" - poczul Hengist. I uslyszal jeszcze jedna mysl: "Wodne mro...".

-Nie... Zabi... Nie... Ruszaj... Mie... Miecza... Napluje... Nie... Ruszaj... Sie... - mowilo cos z wnetrza stwora, stwora o twarzy z surowego miesa. Stwor byl blisko. Rzeczywiscie na odleglosc splunieciecia.

-Nie ruszam sie - powiedziala kobieta, chociaz widac bylo, ze ma wielka ochote sie ruszyc.

-Jeden... Ruch... I napluje... Trafie... - Morda stwora obwachiwala kobiete z bliska, jej nogi w wyszywanych zlota nicia sandalach, jej dlonie.

-Nie robie zadnych ruchow.

-A... Ja... I... Tak... Napluje...

-Dobrze - powiedziala kobieta - ale nie rob nic mojemu dziecku.

-Napluje...

-Nie! - zawolalo dziecko z wanienki. - Nie lob tego! Ziabijes ja! Ziabijac nie! Nie smiejc! Nie smiejc!

-E! - powiedziala kobieta i upadla na podloge.

Sliczna jest Jonga, sliczna jest i mloda

Zdrowa, radosna i dziewiczo czysta

Uosobiona smieje sie pogoda

Czyli wesola, piekna twarz Hengista

Smiechem prawdziwym ryczy tez Barbaro

W izbie sasiedniej Tundu juz w spizarni

Szynki rozdziela wiezniom i ofiarom

Co mialy skonczyc - lub nie-skonczyc - marnie

Ziofilattu corke-wnuczke sciska

Rozwial sie naraz zapach kazirodztwa

I bumbonowi daje Rytar pyska

Stoi pod turma z dyni cud-karoca

Mury pekaja, zrywa wicher dachy

Storturowane staja drzewa w kwiatkach

Slodkie, wiosenne, swieze sa zapachy

Bluszczem obrasta zielonkawym krata

Ogrod na Rombu zrebie sie formuje

Ogrod dla oczu, serca, mysli, duszy

Kazdy z wiezionych naraz obmacuje

Swoje spiczaste, piekne, nowe uszy

Kwitnie w ogrodzie roza, lilia, powoj

Kwitnie tez milosc, madrosc, spokoj, dzielnosc

Wszystko, co zwiedlo, kwitnie tutaj znowu

Kwitnie tez zycie, kwitnie niesmiertelnosc

"Jak to sie stalo, ze on nagle umarl

Przeciez na niego wcale nie naplulam"

-Glosno tak Jonga nasza sobie duma

Chociaz i ona z prawdy cos przeczula

"Dobrze sie stalo, ze jej nie zabilas"

-Mowi jej Hengist, co ma prawde w sercu

"Lepiej byloby, zeby ona zyła

Niz byc raz jeszcze, jeszcze raz morderca...

Mysle, ze wlasnie smierc jej naturalna

Zdjela z nas klatwe smierci i cierpienia..."

"Smierc naturalna? Nie, nienaturalna!

Wolne sa elfy od smierci brzemia!"

Tak Jonga wola, lecz Hengist tłumaczy

Smierci prawidla - i zycia - zlozone

"Elf niesmiertelny, ale coz to znaczy?

Ze niesmiertelny jest on w jedna strone

Zycie bez konca przeciez ma poczatek!

Byt bez poczatku musi miec swoj koniec

Konczy sie w grobie istnienie odwieczne

Tak, jak to wieczne zaczyna sie w lonie

Jest niesmiertelnosc, co poczatek miala

I jest jej celem przyszlosc nieskonczona...

Jest niesmiertelnosc, co od zawsze trwala

Ta niesmiertelnosc musi kiedys skonac!

Kto raz sie zrodzil, temu przyszlosc wieczna

Kto byl od zawsze, musi kiedys umrzec

Pierwszym byc Elfem - rzecz to niebezpieczna

Cesarz byl Pierwszym, wreszcie to zrozumze

Musiał być Pierwszy, aby splodzić wiecznych

To on nam właśnie podarował bycie

Lecz sam miał umrzeć, wiedział o tym, biedny...

Z myśla o śmierci niesmiertelne życie!

Rozpacz stała straszna, no i okrucieństwo

Dusze przeżarły jego oraz i ciało

Stad się uważał na to złe szaleństwo

Co mu się ulga, słuszną zemstą zdało

Stworzył i zrodził śmiertelne istoty

Co tak jak Pierwszy, śmierci wciąż czekały

Kiedy zrozumiał ogrom swej głupoty

Zaczął lekarstwa szukać, oszalały

Poprzez meczarnie chciał dać wieczne życie

Ciągle chciał śmierci chaos zahamować

I co osiągnął marzyciel-dreczyciel?

Miał zahamować, on uporządkował

Teraz on umarł, a my życie zaczniemy



Trudno nad grobem swiecic zycia swieta

Ale tak trzeba! Poszly precz problemy

Strach, bol, cierpienie, kajdany i peta

Teraz nie bedzie smierci ni choroby

Znikna tortury, bole i udreki

Nastal tu dla nas byt zupełnie nowy

Bo gdy smierc znika, gasna wszystkie leki

Bac sie nie musisz, ze glod cie zabije

Bac sie nie musisz chorob ani nedzy

Wiec tez nie musisz krzywdzic i zabijac

Dla zarcia, picia, ani dla pieniedzy

Strach nasz przed glodem albo tez choroba

To strach przed smiercia! Leki samotnosci

Takze odejda! Wiesz, ze znajdziesz kogos

Gdy na szukanie okres masz wiecznosci

Dobro od dzisiaj jest normalnym stanem

Dobro od dzisiaj w kazdym trwa bez przerwy

Kochac bliźniego - to jest naturalne

Bowiem strach przestał szarpać twoje nerwy

Całe zło przecież z leku, z drzeń się bierze

Każda zaś bojaźń - to strach jest przed zgonem

Powiesz >>Nieprawda<<, powiesz mi >>Nie wierze<<

Lecz tak są w tobie leki utrwalone

Bo strach przed bliźnim i jego istnieniem

To strach naprawdę jest przed wyprzedzeniem

Ze cie wyprzedzi w walce o jedzenie

I spowoduje twoje osłabienie

Słabość zaś ciebie do śmierci prowadzi...

Lecz nie ma śmierci, posłuchajcie, bracia

Bliźni bliźniemu dzisiaj już nie wadzi

Dzisiaj zniknęła ta tchórzliwość kacia!"

Hengist tak mówił... Wtedy zaś Barbaro

Spojrzał na Tundu postać znów niestara

Słowa strzeliły jadu złym rozbryzgiem

"Znow twarz obgryziesz, jak wtedy obgryzles!"

Chwycil Barnaro nozyk ogrodnika

Ostrze w brzuch Tundu zaraz szybko wnika

Pada na ziemie mlody znow general

Posrod konwulsji w kilka chwil umiera

"Czemu zabiles, to nie jego wina!"

Hengist tak wola... Aktor wzrokiem tchorzy:

"Wiedziec wystarczy, ze zlo choc raz bylo

Aby sie lekac, ze zlo sie powtorzy"

Patrza na siebie szarzy niczym szmata

Niby ofiary, ale znow mordercy

Gdy ja wpusciles raz do twego swiata

Nie da sie z niego nigdy wygnac smierci

Nagle sie trzesa fundamenty Rombu

Ktory sie zmienil w ogrod glupiej zludy

Gina pod gruzem wszyscy bez wyjatku

Bo wciaz kopaly dzielne krasnoludy

Zanim sie zamknal gruz ponad Hengistem

Kształtu dziwnego strzala z gluchym swistem

Wbila sie w serce jego tuz pod ziobro

Zdazyl pomyslec "O, Czlowieku-Dobro!"

KONIEC

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-18

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)